Nr. 7. Lwów, Niedziela dnia 15. Października 1876 r. **Tom IV.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: roczuie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

VII.

Nauka języka polskiego w szkołach średnich.

I. Bardzo często spotykamy się z narzekaniami, jakoby nauka języka niemieckiego nie rozwijała się należycie w szkołach średnich i że młodzież po złożeniu egzaminu dojrzałości, nie włada tym językiem tak biegle, jak tego późniejsze jej stosunki w życiu wymagać mogą. Daliśmy w piśmie naszem odprawę tym narzekaniom i udowodniliśmy jasno, że jeżeli jakie niedostatki pod tym względem panują, to jedynie ministerstwo temu winno, iż nieustanowiło pierwej specjalnych posad nauczycielskich dla języka niemieckiego i że przepełnienie niektórych zakładów paraliżuje najlepsze chęci Rady szkolnej i nauczycieli.

Nikt atoli nie zwrócił uwagi na wadliwość nauki języka polskiego, i o ileśmy bronili Rady szkolnej i zakładów naszych od zarzutów powyższych, o tyle z całą energją występujemy z zarzutem, że nasza magistratura szkolna krajowa lekceważy naukę języka polskiego w szkołach średnich, a zwłaszcza w wyższych gimnazjach i w wyższych klasach szkół realnych. Aby znaleść dowód na to twierdzenie, dość rzucić okiem na plan nauki języka polskiego i porównać go z książkami szkolnemi.

Uczeń w V klasie gimnazjalnej powinien zaznajomić się z formami dawnej polszczyzny, powinien czytać pomniki dawnego języka, powinien umieć wyjaśnić je sobie gramatycznie, a do tego służą mu „Wypisy polskie T. I. część 1.“ W książeczce tej, znajduje się na wstępie krótka gramatyka dawnej polszczyzny i notatki porównawcze ze starosłoweńszczyzną, opracowane przez ś. p. profesora Sucheckiego. Ś. p. Suchecki pisał rzecz swoją na długo przed zdobyczami najnowszych badań lingwistyki słowiańskiej, i dla tego też praca jego nie wytrzymuje dziś krytyki i stanowczo za błędną uznaną została. Żaden nauczyciel, który cokolwiek bodaj zaznajomił się z językiem starosłoweńskim i staropolszczyzną, nie może posługiwać się gramatyką prof. Sucheckiego i pomija ją najzupełniej. Uczeń atoli ma ją w ręku, musiał kupić ten sprzęt niepotrzebny i nawet szkodliwy, bo bałamucący — a przez ciekawość zaglada do niej i bałamuci się najzupełniej, gdy co innego znajduje w książce dla szkoły przepisanej, a co innego słyszy z ust nauczyciela. Nie ma atoli książki innej, któraby obejmowała w krótkości przegląd form staropolskich i genezę ich wyłonienia się ze starosławiańskiego języka. Nauczyciel musi posługiwać się Mikloszicem lub Leskienem — tudzież zaglądać do większej gramatyki Małeckiego, gdzie niesłychanie mozolną jest pracą zbierać w całość, po całej książce rozrzucone uwagi nad staropolszczyzną. Nauczyciel zostawiony sam sobie, zniewolony do ciągłej łataniny wykładu, nie zawsze znajduje się w tem szczęśliwem położeniu, aby łatanina jego była dobrą. Poprawa zadań, konferencje itd. zabierają mu tyle czasu, iż najczęściej nie może opracować dokładnie lekcji i czyta z uczniami pomniki, improwizując wyjaśnienia. Pytamy się więc, dlaczego Rada szkolna cierpi w szkołach ten zabytek archeologiczny z czasów Bachowskich, zwany „Wypisami polskiemi dla klas wyższych gimnazjalnych“? Czemu uczeń płacić musi za książkę, która jest do niczego, z której się nie tylko nie uczy, ale którą nauczyciel wytrącać mu powinien z ręki? Dla czego Rada szkolna postarawszy się już o tyle podręczników szkolnych, nie postarała się o przegląd form staropolskich i krótką gramatykę starosłoweńską, z którychby uczeń mógł się uczyć, a na któreby mógł się nauczyciel w wykładzie powoływać? Dla czego Rada szkolna nie postarała się, aby do pomników dawnej polszczyzny, dodane były w Wypisach starannie opracowane komentarze? Znamy uczniów p. radcy Sawczyńskiego, którzy pamiętają dobrze, ile trudu zadawał sobie p. radca w gimnazjum św. Anny w Krakowie, aby im w klasie V dać dokładne pojęcie o staropolszczyznie i jak zabraniał zaglądać do gramatyczki Sucheckiego z wypisami połączonej, a polecał jedynie pilne notowanie wykładu. Było to w r. 1859. Od tego czasu 17 lat upłynęło, w miarę postępu badań lingwistycznych gramatyka Sucheckiego jeszcze gorszą się stała, a jednak dotąd jest dla szkół przez Radę szkolną przepisana. P. Sawczyński, który między uczniami Miklosicza tak zaszczytne zajmował stanowisko, powinienby przed innymi wykazać Wys. Radzie szkolnej całą wadliwość Wypisów i wpłynąć na to, aby już raz przestano zmuszać uczniów do wyrzucania pieniędzy na niepotrzebną bibułę.

Obok tego dodać należy, że notatki literacko-historyczne, wyjątki z pomników języka poprzedzające, są zupełnie fałszywe wobec najnowszych odkryć i badań, jak np. notatki o kodeksie florjańskim itd.

Wypisy polskie dla klas wyższych gimnazjalnych T. I. część 1 są zatem książką dla szkół nieużyteczną, a nawet szkodliwą. W następnych uwagach przejdziemy do innych.

ŻELIGA.

Powieść

Józefa Ignacego Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Nazajutrz wiedziało już o tem całe sąsiedztwo, ktoś szepnął Achingerowi, a ten jak stał dopadłszy ledwie chłopskiego wozu przyleciał. Cały był pomieszany i kwaśny. Naprzód prosił p. stolnika aby mu całą rzecz jak była opowiedział, potem milcząc oglądał i dukaty i pamiątki, na ostatek padł na krzesło z frasunkiem wielkim.

— Jakież to tam licho przewidzieć mogło, że pod tą szarą kapotą jakiś magnat pokutuje — i zawołał: — Ot tom sobie nawarzył piwa... a tożeśmy się tu żarli z nim nieustannie... i w drogęm mu lazł! Gdybym był wiedział... ba! ba!

— Otóż masz nauczkę, sąsiedzie, jak się to z każdym, by i z ubożuchnym człeczkiem obchodzić potrzeba.

Achinger więcej był przelękły niż zmartwiony.

— Jeżeli on mospanie — mówił — tak przyjaciołom się wywdzięcza wspaniale, toć pewnie ostro obchodzi się z niechętnymi a ja mu nieraz zalał za skórę... więc mi nie daruje!... Ot tom sobie biedę kupił!

— E! nie frasujcie się znowu tak bardzo — rzekł pan Marcin — złe się rychło zapomina.

— A! licha tam, ja nigdy, prędzej dobrego zapomnę co mi kto wyświadczył, ale złego... do śmierci.

— Zła natura waszeci! — odparł śmiejąc się Marcin.

— Ale już jej nie przerobić! westchnął sąsiad.

Znowuż tedy jął się rozpytywać i głowę łamać nad tem, coby za jeden mógł być, co znaczył kozak siny z żółtem, czyja to była barwa, itp.

Marcin mu pomagał i niestworzone rzeczy tak marzyli a Achinger jak litanję coraz to westchnąwszy powtarzał:

— Da mi też pieprzu! da!

— Już chyba wy mnie bronić będziecie, albo panna Agnieszka — dodał — bo się sam takiemu magnatowi nie opędzę. Dobrze to mówić szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie, ale ta równość szlachecka... rzecz to jest zdradziecka...

I z rymu wielce uradowany powtórzył sobie śmiejąc się kilka razy.

— Równość szlachecka... rzecz jest zdradziecka... To mi się udało.

Znów tedy puścili się w domysły, dla czego taki człowiek lat kilka mógł potrzebować ukrywać się, udawać ubogiego i rezydować u szlachcica?... Co mogły za powody skłonić magnata do ponoszenia dobrowolnego upokorzenia, niewygód itp.

Nie było na to w wyobrażeniach owego wieku innego tłumaczenia nad pokutę za czyn występny, bo choć wiara zachwiana została w XVIII wieku, jeszcze gorąco była tam, gdzie zepsucie dworu i cudzoziemczyzna nie doszły.

Prawdę rzekłszy, gdy ów Żeliga po raz pierwszy do Barcina zawitał, nikt a nikt się w nim nie domyślał ukrytego pana; teraz wszyscy utrzymywali z kolei, że się czegoś zaraz dorozumiewali, przeczuwali, że coś w nim tajemniczego odgadli. Każdy się z przenikliwością swą popisywał. Jeden Achinger nie mógł się do niej przyznać. W istocie jeśli kto, to panna Agnieszka i Justysia miały prawo pierwsze utrzymywania, iż w Żelidze widziały wcześnie jakąś niezwyczajną postać, a trzeci może kozaczek, który nie po cholewach u butów kozłowych, co je czyścił, ale po talarach pana wcześnie zwąchał. Pan Marcin przypominając sobie, jak się nieraz w kwaśny humor z Żeligą obchodził, jak go niekiedy połajał przy marjaszu, aż czuprynę tarł, pani Marcinowa rumieniła się też opowiadając, jak się nim posługiwała, że czasem z kluczem za nią do spiżarni chadzał i tp.

A Achinger wciąż powtarzał na różne sposoby:

— Ot tom sobie piwa nawarzył! ale ktoby się go tam domyślił pod taką kapotą!

Śmieli się tak, przypominali, domniemywali bez końca.

Przygoda owa tak rozbudziła wszystkich, a ciekawych napędziła do Barcina, że przez kilka dni ino przyjmować musiano, opowiadać, pokazywać, i prostować pogłoski, które o parę mil już ze trzech zrobiły trzydzieści tysięcy dukatów, a z parę klejnocików, całą pereł i djamentow szkatułę. Osoby podejrzliwsze, dotknąwszy nawet darów, przekonawszy się w miejscu o ich ilości i wartości, odjeżdżając posądzali Barcińskich że się nie do wszystkiego przyznawali. Stare panny, których jakoś pod tę porę było w Chełmskiem dosyć, z zazdrością spoglądały na p. Agnieszkę, ukrywającą się ze swym pierścionkiem, któremu wszyscy wielkie przyznawali znaczenie. Domyślała się też i panna Agnieszka sama, co wyrażały dwie złączone dłonie, i przypominając przyjaciela, dla którego czuła afekt prawdziwy, marzyła także o przyszłości.

Tak ona przychodziła niespodzianie z dłonią pełną nadziei, gdy już o życiu swem zwątpiła była i o szczęściu marzyć nie śmiała, że jej się to wszystko snem wydawało dziwnym.

Ale jak i w jaki sposób miało się to zakończyć... kiedy miał się zjawić ów narzeczony, którego pierścień nosiła na palcu? Kto on był w istocie? Co mu przeszkadzało że dotąd sam się nie pokazywał, że tail się jeszcze z sobą? Wszystko to były nierozwikłane zagadki.

Pani Marcinowa co wieczora przychodziła do niej dopomagając domysłom i rojąc z nią o przyszłości.

— No cóż ty na to mówisz! co ty moja Agnusiu — wołała od progu — on ci pewnie wprzódy musiał dawać do zrozumienia... nieprawdaż? Jusciż, wszyscyśmy postrzegali to, że się bardzo miał do ciebie... Jak on ci mówił? czy ci co obiecywał?

Naówczas skromna panna Agnieszka po cichutku przypominając sobie swe rozmowy z nim, powtarzała je p. Marcinowej i przeczuwały jak to się skończy, jak z wielką przyjedzie kalwakatą itp.

Jakież to szczęście dla człowieka odrobina nadziei, jakież to szczęście, gdy los da mu trochę tej pajęczyny złotej na tkankę, którą fantazja tak misternie przerabiać umie. Nigdy rzeczywistośc najcudniejsza nie karmi tak u piersi dzieci dobrej nawet doli,

Ale kiedyż marzenie się wyśniło? Kiedy człowiek tworząc tysiące obrazów na odgadnienie przyszłości, spodział sią jaka ona będzie... Nigdy! Najczynniejsza wyobraźnia nie sprosta zwierzęcej ironji losu, który naigrawać się zdaje z myśli, i iść na wyprzódki z fantazją, aby jej rzucić w oczy niespodziankę. Ten co nocy bezsenne przetrwał na wyrachowywaniu wszystkich możliwych kombinacyj losu, i doli swojej, kiedyż zgadł jutro i przewidział jego barwę? Serce czasem przeczuwa, rozum w dochodzenin przyszłości jest zawsze zawodnym; bo serce ma instynkt nieochybny, siłę jakąś mistyczną, której rozsądek się wyrzekł. On rachuje tylko, ale niestety, rachuby jego oparte są zawsze na cyfrach lub nieznanych, lub fałszywie postawionych tak, że ostateczny wniosek, zawsze chybiać musi. Ale któż w życiu nie bawił się po tysiącznych zawodach, jeszcze raz w tę grę liczb nieznanych, w tę loterję doli, na której się zawsze przegrywa?

Tak teraz odgadywała panna Agnieszka, pani Marcinowa sam p. Barciński jak dalej, z tym tajemniczym Żeligą sprawy pójść miały.

Tymczasem krzątano się do prędkiej podróży, do której teraz już żadnych przeszkód nie było, a przyspieszenia jej, zdrowie Justysi wymagało. Pan Marcin nawet przypuszczał że w drodze może spotkają się gdzieś zasłyszą coś, dowiedzą się o swym nieznajomym, którego nie wiedzieli nawet kędy szukać mieli.

— Jusciż kiedy dosłyszał coś o mojej biedzie, czuwa tedy nad nami — mówił p. Marcin — ale nie rychło przyszedł mi w pomoc, widzę znać kędyś mieszka daleko. W której stronie, to Bóg jeden wiedzieć raczy...

Na samo pakowanie się nadjechał jeszcze raz Achinger, ciekawość połączona ze strachem, spać mu nie dawały, śledził on troskliwie nadzwyczaj tego Żeligę, którego się tak obawiał. Z różnych plotek w Chełmie dowiedział się, iż tej nocy, gdy znikł właśnie ów Żeliga z Barcina, a miasteczko było pełne jakiegoś dworu i kozactwa, przy kalwakacie i powozach pańskich nie było pana samego, oczekiwano nań noc całą. Nad ranem, już mu żyd trzymający gospodę opowiadał, coś zastukało do okna trzy razy, marszałek dworu, który ubrany siedział, zerwał się z ławy i poszedł sam nie wielkie wrota, ale małą furtę otworzyć, tą furtą wcisnął się do karczmy ktoś... Przed drzwiami na drodze nigdzie żadnego wozu ani koni nie było, nie dosłyszano żadnego turkotu, mimo to nagle w gospodzie powstał ruch nadzwyczajny, kozacy ruszyli się z ław, poczęto wozy i konie gotować, służba latała wołając że pan przybył. Gdy Chaim ubrany w nowiuteńki atłasowy żupan i czapkę szabasówkę zapragnął tego pana zobaczyć i powitać, popchnięto go dosyć niegrzecznie, internowano w izbie, grożąc najsroższej jeśliby śmiał wyjść za próg i koniec końcem nie widział on tego kasztelana na oczy. Kozacy wszyscy należący do dworu, byli w barwie jednostajnej sinej z żółtem.

Achinger więc wnosił, że nie kto inny był tym panem, co po nocy przyjechał czy przyszedł, tylko zbiegły z Barcina Żeliga. Wszakże i kozak który pieniądze przywoził, miał na sobie barwę siną z żółtem?

Wiele prawdopodobieństwa było w tych domysłach jedno wszakże nadwerężało je znaczenie, to obrachowanie godzin, których droga z Barcina do Chełma wymagała. Najspieszniej idący człowiek, nie mógł jej przebyć w tym czasie, jaki z rachuby wypadł między prawdopodobnem zniknieniem Żeligi z Barcina, a przybyciem jego do Chełma. Wprawdzie mógł gdzie i dostać, nająć konie, ale w miasteczku najlżejszy turkot w nocy dawał się słyszeć daleko, a po drodze nie łatwo też było natrafić na wóz i konie.

Tem tylko zbijał pan Marcin upierającego się przy swojem Achingera, który im możniejszym wyobrażał sobie swego przeciwnika, tem bardziej fantazję tracił.

— Państwo jedziecie — mówił kuternoga — a ja tu sam zostaję... nie będzie mnie nawet komu obronić jeśli mu przyjdzie ochota mnie najechać albo mnie jaką psotę wyrządzić.

P. Marcin ramionami ruszał.

— Zkąd waści te myśli? to człek nie mściwy!

— Ale ba, — szeptał Achinger — któryby to człek mający siłę a obrażony nie chciał jej użyć na powetowanie krzywdy?

— A jakążeś mu waćpan wyrządził?

Milczał Achinger, ale miał na myśli swoje spotkanie przy chacie leśniczego i odgróżkę, którą dobrze słyszał, choć się nie rad był do tego przyznać.

— Nie powiem asindziejowi — rzekł w końcu — gdzie i jak to było, ale gdyśmy się raz przemówili, to jak kija, który trzymał w ręku, ścisnął, powiadam wam aż trzeszczał, a oczy mu się iskrzyły jak ślepie u kota. Wyglądał tak, że jego oblicza dopóki żyw nie zapomnę.

— A o cóż to poszło? — spytał pan Marcin.

— A! to tak, o fraszkę... ja to jestem niepotrzebny gorączka... lada co mnie zburzy, jest to w rodzie Achingerów. Mój przodek Zybult, miał także zatarg z jednym Lubomirskim że aż do szabel przyszło... nie zważając na imię i senatorską godność i to pod bokiem J. K. Mości. Drugi z Achingerów ze trzema tureckimi czauszami się starłszy, mało życia nie postradał...

— Ale cóż znowu — zawołał p. Marcin — o naszego Żeligę nie masz się czego obawiać, w drogę ci nie wejdzie, byleś ty mu jej nie zaszedł.

— No! no! widać żeście mu nigdy nie spojrzeli jak ja w oczy.

Polecając się opiece p. Barcińskiego, odjechał nie bardzo uspokojony o siebie kuternoga do domu, a tuż i państwu przypadała podróż do Warszawy, w którą się natychmiast wybrać musieli. Jechała z nimi i panna Agnieszka, jako nieodstępna towarzyszka. O mil pięć od Warszawy, na wielkim trakcie, stała naówczas karczma w lesie, której nikt nie mijał. Stary gracjalista, niegdyś kucharz podróżny wojewody Ogińskiego, który miał ten wielki przymiot, że umiał z niczego smacznie przyprawiać objadki i nabył wielkiej sławy z jajecznicy i bigosów, i założył w niej był pierwszą na cały kraj garkuchnię na gościńcu, dając przykład, że gospoda podobna przez katolika utrzymywaną być może.

Na owe czasy było to taką nowością, że wygoda chwilowo zyskała nadzwyczajną wziętość.

Impan Izydor Pastuski, tak się zwał ów staruszek przedsiębiorca, niczego nie żałował, aby swój (jak dziś mówią) zakład postawić na wytwornej stopie. Kupił był nawet mały billardzik w Warszawie, używany wprawdzie, ale jeszcze dosyć przyzwoity, i urządził bufet, w którym wódki gdańskiej, wina węgierskiego, pierników i tłuczeńców domowych dostać było można, miał zapas wiktuałów mniej więcej świeżych, piwo butelkowe marcowe, kawę nie złą i do posługi chłopca, ubranego w liberję przenoszoną cynamonową, kupioną na tandecie. Leżała ona trochę wolno na wyrostku, ale zawsze się spodziewano, że z latami on ją wypełni. Sama powierzchowność tej oberży postępowej była pociągającą. Naprzód na przyczułku stał wielkiemi literami napis.

WYGODA
Traktyer, Oberża i Billard
Izydora Pastuskiego
b. kuchmistrza Wojewody Ogińskiego

Potem okiennice wszystkie ozdobione były obrazami rodzajowemi, umyślnie na ten cel malowanemi w Warszawie.

Ten co je dla Pastuskiego malował, naówczas początkujący bazgracz, później był wielkiej sławy artystą. Na pierwszej z nich był rodzaj trofeum z kijów billardowych, gałek, butelek, kieliszków i godeł wesela i biesiady, oplecionych bluszczem i liśćmi winnemi.

Na drugiej dwaj ichmościowie Polak i suknią zagraniczną przyodziany człowiek, grali w billard. Polak miał poły zakasane i robił bilą z zapałem, z jakim jego przodkowie łby rozcinali niewiernym. Nowomodny jegomość stał patrząc nań w pozycji menuetowej, uśmiechnięty. Były to postacie, w których przyszły talent karykaturzysty już bardzo wybitnie się objawiał.

Na trzeciej okiennicy widać było stół nakryty z lasem butelek, szklanek i kieliszków i przy nim znowu tych samych dwóch ichmościów, z dodatkiem jednej pani w kapeluszu z piórem, w szalu pąsowym i okrutnie wygorsowanej, zajadających, o ile się można było domyśleć, wielkiego pozłocistego indyka.

Na czwartej podochoceni dwaj panowie tańcowali z kieliszkami w ręku rodzaj drabanta, w oddaleniu kapela grała na trąbkach i różnych instrumentach, których podobno nigdzie nie widziano. Artysta puścił nieco cugle swej wyobraźni, ale się za to Pastuski nie gniewał.

W tej to wspaniałej gospodzie przypadł nocleg państwu Marcinowstwu i pannie Agnieszce, która w miarę jak się zmierzchać zeczynało wśród lasu, bardzo karczmę spotkać pragnęła, posądzając Mazowsze o przechowywanie Rinaldinich w głębi szumiących sosnowych borów.

Było to już o zmierzchu, wiosenny dzień majowy, pogodny, lasy pełne zapachów rozkwitłej czeremchy, i świeżo jeszcze rozwiniętych balsamicznych liści brzozowych, cisza razem z rosą spadała na usypiającą ziemię. Księżyc w pełni, czerwony jakby się zadyszał spiesząc do swych obowiązków, pokazywał z za drzew nabrzękłe oblicze; powóz stanął, a znający się na dworskich obyczajach p. Pastuski w białej na głowie szlafmycy, fartuchu świeżym, wybiegł pozdrowić przybywających państwa, zapewniając im, że nocleg będą mieli wygodny.

Tylko co się powoli wydostali z kolebki, gdy pan Marcin oczy zwróciwszy ku drzwiom gospody ujrzał w nich bardzo urodziwego młodzieńca, ubranego skromnie ale smakownie, który zdawał się z niezwyczajną ciekawością wpatrywać w nowoprzybyłych. Oczy jego wlepione w nich błyszczały niepokojem widocznym, w rękach miał jakiś papier i wahał się, czy z nim zbliżyć się do nich czy nie.

Justysia pierwsza go spostrzegła, nie wiedzieć dla czego zarumieniła się mocno, młody człowiek jeszcze mocniej i oboje zapomniawszy obecnych, stali tak chwilę jakby starzy znajomi, co po długich latach niewidzenia spotykają się znowu, a nie są pewni jeszcze, czy widma widzą, czy dawnych lat przyjaciela.

Upewniony wszakże jakby widokiem Justysi młodzieniec, żywo się posunął kilka kroków naprzód i z bardzo grzecznym ukłonem zbliżył się do p. Barcińskiego.

— Wszak p. stolnika Barcińskiego mam zaszczyt widzieć! — rzekł z uśmiechem.

— Tak jest! tak jest! lecz zkądże? zdaje mi się że nie mam przyjemności...

— Osobiście nie znałem p. stolnika — rzekł śmielej nieznany młody chłopak, — ale wiele, wiele o nim i o jego domu nasłuchałem się od mego wuja, od którego i list im przynoszę.

Na kopercie już poznał Barciński pismo Żeligi i aż zakrzyknął:

— A! jakże się ma? co porabia? i jakże się złożyło?

— Zdrów jest — odpowiedział, wciąż oczyma goniąc za Justysią młody chłopak — bardzo żałował że sam nie mógł dla ważnych spraw z domu wyjechać na spotkanie państwa... ale domyślając się... wiedząc, że tędy jechać musicie, mnie wysłał, abym w jego imieniu ich pozdrowił.

— Jakto? więc to wuj...

— Rodzony mój wuj — odpowiedział nieznajomy chłopak, — Mam mnóstwo od niego poleceń różnych, a najpierwsze, najważniejsze, abyście raczyli przyjąć gościnę w gospodzie przygotowanej na ich przyjęcie, nim może zdołamy kiedyś zawdzięczyć im ich gościnność długą pod własnym dachem. Czuję bardzo nieudolność moją w zastąpieniu wuja, ale spodziewam się, że państwo młodości mej i niedoświadczeniu raczycie wiele przebaczyć

Wszyscy patrzyli z natężoną ciekawością na ślicznego chłopaka, który mimo atencji starszym należnej niedyskretnie oczyma ścigał Justysię. Trzeba też przyznać, że i młode dziewczę z całą prostotą wieśniaczki wpatrywało się w niego jak w tęczę... jakiś urok dziwny ciągnął ich oczy ku sobie...

Scena ta odbywała się na podwórzu, ścieżka wiodąca do oberży p. Pastuskiego usypana była zielonym tatarakiem, u drzwi wisiały wieńce z liści dębowych. Młody gospodarz podał z wielkiem uszanowaniem rękę pani Marcinowej i zdziwioną tą niespodzianką wprowadził do pokoju, w którym wieczerza dla podróżnych była przygotowaną.

(C. d. n.)

O wrażeniach zmysłowych

przez

Dr. Juljana Ochorowicza.

(Ciąg dalszy).

11. Organem słuchu jest ucho wewnętrzne. To co zwykle nazywamy uchem, służy tylko do ześrodkowania fal powietrza wpadających w ka-

*

nał uszny. Powietrze więc jest pośrednikiem wrażeń słuchowych, jest pośrednikiem zwykłym, chociaż nienajlepszym; w wodzie bowiem głos rozchodzi się daleko lepiej niż w powietrzu. Powietrze jeżeli ma być dobrym przewodnikiem głosu, musi być spokojne. Wiadomo, że w nocy na wsi np. słychać doskonale szczekanie psów ze wsi sąsiednich, podczas gdy w dzień tak odległych wrażeń nie ujmujemy. Pochodzi to nietyle z przeszkody jaką gwar dzienny stanowi, ponieważ na wsi gwar ten nie jest zbyt wielkim — ile raczej ztąd, że powietrze nieogrzewane przez ziemię odbijającą promienie słońca nie przedstawia tych ciągłych ruchów warstw ogrzanych ku górze a chłodniejszych ku dołowi, które swobodnemu rozchodzeniu się fal głosowych przeszkadzają. Z drugiej strony wyrazistości wrażeń sprzyja obecność tak zwanych rezonatorów, czyli ciał stałych, drgających i wzmacniających drganie powietrza. Takie znaczenie ma np. oprawa drewniana w skrzypcach, wzmacniająca drganie strun i t. p. O wszystkich tych warunkach uczy nas fizyka — nam zaś rozbierającym te rzeczy ze stanowiska fizyjologicznego i psychologicznego, tych kilka uwag wystarczy i przejdziemy wprost do rozbioru samych wrażeń.

Przyczyną ich zewnętrzną czyli bodźcem jest zawsze drganie jakiegokolwiekbądź ciała w ruch wprawionego. Ruch ten rozchodzi się w powietrzu, tak jak fale na wodzie po wrzuceniu w nią kamienia, uderza o ucho zewnętrzne, wchodzi w kanał uszny zakończony bębenkiem czyli błonką rozpiętą, błonka ta wprawiona w drganie udziela je trzem drobnym kosteczkom które nazywamy młoteczkiem, kowadełkiem i strzemiączkiem; strzemiączko przytykające do otworu owalnego w tak zwanym labiryncie czyli uchu wewnętrzem wprawia w ruch zawarty w niem płyn, i dopiero drgania tego płynu podrażniają spiralnie ułożone, nadzwyczaj drobne narzędzia słuchowe, w których się odpowiedni nerw rozgałęzia. Tu więc właściwie dopiero rozpoczyna się wrażenie słuchu i tę też tylko część ucha nieco bliżej opisać musimy.

Labirynt, czyli ucho wewnętrzne, stanowi puszkę zamkniętą i ukrytą w tak zwanej skalistej części kości skroniowej.

Ucho wewnętrzne nie jest wypełnione powietrzem lecz płynem wodnistym — jest też szczelnie zamknięte i ma tylko dwa okienka: jedno *owalne*, do którego, jak wspomniałem, szczelnie przytyka strzemiączko i tym sposobem łączy błonę bębenkową szeregiem kosteczek z okienkiem owalnem leżącem prawie naprzeciwko; drugie okienko jest *okrągłe* i leży nieco z boku przy początku zawojów ślimaka. Ów ślimak jest to część labiryntu zwinięta spiralnie. Druga zaś środkowa część labiryntu, do której prowadzi okienko owalne, zowie się przedsionkiem. Trzecia po przeciwnej stronie względem ślimaka składa się z trzech łuków półkolistych czyli rurek w pałąk zgiętych. Nerw słuchowy wchodzi do tego przyrządu licznemi odnogami i ma trojakie zakończenie czyli trojakie organa słuchowe. Jedna gałązka idąca do ujścia owych łuków rozgałęzia się w nich i włókienka jej łączą się z całą grupą drobnych, i niesłychanie delikatnych włosków. Inne gałązki wchodzą do przedsionka i łączą się z innemi organami. Są i tu wprawdzie na komórkach błonki wyścielającej osadzone włoski słuchowe, ale mniej liczne a natomiast występują inne organy pod postacią delikatnych kryształków zwanych *otolitami*, albo kamyczkami słuchowemi, które ułożone są w grupy, mogą jednak drgać pod wpływem drgania wody tak jak i wspomniane wyżej włoski.

Wreszcie trzecia grupa gałązek najliczniejsza i najważniejsza idzie do ślimaka i rozgałęzia w jego zawojach. Ów ślimak składający się z dwu i pół zakrętów spiralnych, tworzy tym sposobem kanał wężowy wypełniony również płynem. Ten to kanał mieści w sobie najważniejsze tajemnice mechaniki słuchowej. Przedewszystkiem jest on podzielony na dwa kanały poprzeczną przegrodą chrząstkowatą, ciągnącą się wzdłuż wszystkich zakrętów od dołu aż do szczytu. Przegroda ta jednak nie jest kompletną i zajmuje tylko wewnętrzną stronę kanału, dalsze zaś jej przedłużenie do zewnętrznej ściany ślimaka stanowi miękka, delikatna błona włóknista, jakby z poprzecznych strun złożona, która tym sposobem przegrodzenia dopełnia. Cała ta przegroda razem wzięta dzieli kanał ślimakowaty na dwa kanały; górny i dolny. Górny łączy się z przedsionkiem, dolny zaś zaczyna się przy okienku okrągłem, które patrzy w jamę ucha środkowego z wspomnianemi wyżej kosteczkami, lecz jest zupełnie wolne na swej powierzchni. Takie urządzenie sprawia, że woda ślimaka poruszona od strony przedsionka przez drganie okienka owalnego przenosi ruch do okienka okrągłego, które może się pod naciskiem fal wyprężać. Siedliskiem właściwego organu słuchowego, jest w tym ślimakowym kanale rozdzielająca go *błona spiralna* miękka. Składa się ona jakby ze strun ułożonych jedna przy drugiej w kierunku poprzecznym względem kanału i to ze strun lub włókienek coraz to większych. Na jej to powierzchni mieści się najciekawsza część organu, tak zwany *przyrząd Corti'ego*. Są to delikatne pałeczki kształtem literę *S* przypominające i ustawione z obu stron na błonie spiralnej t. j. i od strony wewnętrznej i od strony zewnętrznej, tworząc nad ową podstawą jakby rodzaj dachu z krokwi, schodzą się bowiem u góry i łączą. Ponieważ zaś cały ten przyrząd spoczywa na błonie spiralnej, ztąd też nazywamy ją inaczej błoną *podstawową*. Ażeby zrozumieć ich rolę w uchu, przypomnijmy sobie budowę fortepjanu i wyobraźmy, że włókna błony spiralnej są szeregiem strun a ustawione na nich pałeczki, młoteczkami które przedłużające się drganie i dźwięczenie struny tamują. Otóż jeśli drgania wody podrażnią które z włókien, to przejmuje ono ton sobie właściwy o tyle, o ile na to pozwalają stojące nad nią pałeczki. Jednocześnie zaś pałeczki te działają nierównie zawilej aniżeli w fortepianie, służą bowiem zarazem jako hamulce i jako rezonatory. Wszystkie te delikatne utwory otoczone są nadto komórkami błonki, opatrzonej również włoskami słuchowemi, ustawionemi w trzy rzędy, mianowicie w okolicy pałeczek i włókien błony sprężystej czyli podstawowej. Pałeczek Cortiego naliczono w uchu w przybliżeniu 3.000 tysiące, a każda ich para spoczywa na jednej lub paru włóknach błony podstawowej.

Te to włókienka czyli struny służą do oceniania różnych *tonów muzycznych*. Włoski zaś i kryształki służą do oceniania *szmerów*.

Pojedyncze paski błony sprężystej z pewnej liczby włókien ułożone, odpowiadają pewnym tylko tonom muzycznym — tym więc sposobem mamy w uchu przyrząd służący do klasyfikacji wrażeń muzycznych do oceniania ich pojedynczo lub w grupach zwanych akordami. Wrażenia zaś chaotyczne czyli szmery działają tylko na błonki i kryształki i mogą być oceniane tak co do siły, jak i co do ich brzmienia właściwego przez współudział tonów.

W ogóle dźwięki muzyczne powstają przez takie drgania, które mają jednostajną prędkość i perjodycznie się powtarzają. Szmery zaś wtedy, gdy prędkość jest zmienną i w następstwie drgań nie ma stałej perjodyczności.

Od *prędkości drgań* t. j. od ich liczby na sekundę zależy *wysokość* tonu czyli to co nazywamy jego jakością. Jeżeli dźwięk pochodzi od drgania struny, to jest on tem wyższy im struna krótsza — to też w błonie sprężystej ślimaka, części jej podstawowe, które jak widzieliśmy są węższe, odpowiadają tonom wyższym — górne zaś od szczytu ślimaka niższym. Siła zaś tonu zależy tylko od wielkości drgań. Im mocniej szarpniemy strunę tem ton będzie głośniejszy, ale jakość jego nie zmieni się, dopóki tylko długość struny będzie zachowaną. Jeżeli jednak rozdzielimy ją na dwie części przez przyciśnięcie podstawką, wówczas otrzymamy niejako dwie struny, każda bowiem połowa drgać będzie oddzielnie i to w ten sposób, że *liczba* drgań każdej połowy, będzie dwa razy większą aniżeli liczba drgań całej struny przed jej podziałem. To też ton struny o połowę krótszej, będzie dwa razy wyższym, a taki stopień nazywamy *oktawą*.

Jeśli więc cała struna dawała ton *c*, to połowa jej da także ton *c*, ale z wyższej oktawy. Przy dalszym podziale na połówki, otrzymujemy *c* trzeciej oktawy, czwartej i t. d. Liczba drgań całej struny przy najniższym tonie *c* jaki dają nasze fortepiany wynosi 33 na sek. — *c* z następnej oktawy dwa razy tyle a więc 66 — *c* z trzeciej oktawy 132 i t. d. aż do siódmej w której *c* przedstawia liczbę 2112 drgań.

Ponieważ wszystkie inne tony są pośrednie pomiędzy temi i jest ich w każdej oktawie po 7 (zkąd też pochodzi nazwa oktawy jako ósmego tonu) liczba więc drgań odpowiadających tonom pośrednim będzie także pośrednią, ale w pewnym stale oznaczonym stosunku, tylko bowiem takie *stałe* stosunki drgań dają tony muzyczne, w odróżnieniu od *szmerów*. Ton *d* następny w pierwszej oktawie będzie się składał z 37, 125 drgań na 1 sek. — ? ton *e* z 41, 25 — *f* z 44 — *g* z 49, 5 — *a* z 55 — *h* z 61, 875. Odpowiednie zaś tony w wyższych oktawach będą miały liczbę drgań coraz to podwójnie wyższą. W naszych fortepianach zwykle najwyższym tonem jest *a* siódmej oktawy o 3520 drganiach. W tych więc granicach t. j. pomiędzy 33 i 3520 drganiami mieści się cały obszar tonów, melodji i akordów. Lecz oprócz wymienionych dźwięków istnieją nadto jak wiadomo półtony; te oczywiście muszą zajmować miejsca pośrednie między tonami. I tak: już z cyfr wymienionych można było zauważyć, że różnica drgań pomiędzy *c* i *d* albo pomiędzy *g* i *a* albo wreszcie pomiędzy *a* i *h* jest mniejszą, aniżeli pomiędzy *e* i *f* albo pomiędzy *h* i *c* następnej oktawy.

(C. d. n.)

Z podróży po wyspach Oceanji.

Listy

JANA KUBAREGO.

(Ciąg dalszy.)

Podług krajowego zwyczaju, wszyscy naczelnicy byli obowiązani żyć w Ngalbartelbaju przez cały czas mego pobytu, i zaopatrywać mnie

w jadło i we wszelkie potrzeby. Po pierwszych chwilach poświęconych wymaganiom krajowej etykiety, wzajemnym podarkom z tytoniu i liści betlu, zaczęła się ogólna pogadanka. Wieczorem towarzyszył mi Iraklaj do kąpieli, jak w ogóle od chwili przybycia ani na krok mnie nie odstąpił. Wróciwszy do baju, znalazłem całą podłogę w zupełności zakrytą miskami napełnionemi gotowemi potrawami. Mój dostojny towarzysz oświadczył mi, że to jadło jest mi ofiarowane przez naczelników kraju, poczem ja podziękowałem wymownie za tak hojne przyjęcie i dowody przyjaznego usposobienia.

Stosownie do miejscowych zwyczajów i poglądów, ja stałem się czasowo głową tego zgromadzenia, a jadło zostało formalnie mnie jednemu ofiarowane. Z mojej strony—grzeczność obowiązywała mnie rozdzielić te przeszło dwieście misek między dwudziestu zgromadzonych naczelników, którzy tym sposobem stawali się moimi gośćmi.

Potrawy owe z następujących składały się specjałów: Taro gotowane w całości i bite z olejem kokosowym, co się nazywa „apelsijek“ Taro z melassą i mlekiem kokosu, owoc chlebowego drzewa z takiemże mlekiem, świnina z kurkumą, gołębie z wnętrznościami, (uważanoby za gburowatość i nieobycie zostawiać wnętrzności niezjedzone, lecz na obronę tego zwyczaju dodać trzeba, że te części potrawy, podobnie jak u naszych kwiczołów, znośne są w jedzeniu a nawet smaczne) dzika kura, ryby, kokosowy orzech smażony w melasses, marcepan z dzikich migdałów i melasses, nareszcie desery jako to: pomarańcze, banany, ananasy i mango.

Gdy nastąpił podział, największą liczbę misek wziął naturalnie król, dalej naczelnicy podług ich rangi. Najmniejsza część została zjedzona na miejscu, reszta wróciła do domów, z których pokarmy przyniesiono. W rzeczywistości było to tylko objawienie uczuć, paradą mis i zasobów naczelników. Dla pojedynczych domów była to wymiana potraw i uczta, gdyż rzadko w domach przygotowują dla własnej potrzeby inne jadło nad rybę i taro. Paląc tytoń w liściach bananów i żując betel gawędziliśmy do późnej nocy, a treścią naszej rozmowy była przedewszystkiem Europa i jej białe plemię przezemnie tutaj reprezentowane, następnie polityczne stosunki Korjoru z Artingalem, dalej moja podróż, prace itd. Gdym znużony legł na kokosowej macie sposobiąc się do snu, rozruszani starcy gwarzyli jeszcze żywo, o moje wpół uspione uszy odbijało się często powtarzane moje nazwisko. Oto pierwsza noc między mymi nowymi przyjaciółmi, których Korjor zawsze mi przedstawiał jako ludożerców.

Następnego dnia ofiarowałem Iraklajowi moje podarunki, między temi piękny rewolwer; pierwszy raz zobaczył on ten instrument. Jednym z głównych zamiarów moich było zwidzenie jeziora Ngardok i otrzymanie kilku ryb, które niewątpliwie będą nowemi, a przynajmniej bardzo rzadkiemi gatunkami.

Bez najmniejszego wahania się, klub wojowników pospieszył uczynić niezbędne przygotowania, i za dwa dni mieliśmy ruszyć wszyscy razem, gdyż Iraklaj i jego naczelnicy postanowili mi towarzyszyć.

Nim chwila naszej wyprawy nadeszła, włóczyłem się po okolicach Molegojoku za pająkami i owadami.

Co za różnica Korjor i Molegojok!... Z jakąż roskoszą dążyłem o wschodzie słońca po cienistych drogach do zdrojowej kąpieli. Nadobne, o ile takiemi być mogą, dziewice artingalskie, zbierały nocą opadłe migdały, z jak naturalną prostotą żądały one odemnie tytoniu lub listka betlu! Jak wesoło i swobodnie one się śmiały! Artingalek jeszcze majtkowie nie uczyli cnoty, mnie one pierwszego oglądały z białych. Naturalnej ich ciekawości nie było granic, i na zabawnych scenach nie zbywało. To dotykały pięknemi rączkami mej brody, to okulary moje je straszyły, to szydziły z mych piwnych oczów. Wszystko było tak naiwnie poufałe, że anim się gniewał, anim poczuł wstrętu. O dzikie córy Molegojoku! wasze nieszczęście—nieświadomość, jest waszem szczęściem. Nie macie Europejczyków między sobą, ale i europejskie męty nie mącą spokoju domów waszych. Oby ci potężni niszczyciele jak najpóźniej do was przybyli, z nimi przybędzie karabin i wódka, ale naiwny uśmiech zniknie na zawsze wam z obliczów. Dziś świętego możecie skusić — potem szatana napełnicie wstrętem...

W srebrze kryształowej kaskady pozdrowiwszy dzionek, ożywiony znowu podążyłem szerokiemi kamiennemi drogami. Potężnopienne drzewa z obu stron dróg stojące, krzyżując swe konary nad niemi, utworzyły sklepienie, w którego łonie ptaki i błyszczące motyle wesoło się trzepocą. Podnosząc się słońce nie wygna ztąd już nigdy chłodnego, poważnego cienia. Aleje te tutaj są zarazem pomnikami przeszłości. Wraz z drogami wskazują one znikomość czasem objętych potęg. Z obu stron tych majestatycznych dróg sypanych przed wiekami przez tysiące synów natury, stały niegdyś liczne domy, napełnione wesołemi śpiewami dziewoi i wrzaskami niewinnej dziatwy. Gdzie dzisiaj to wszystko zniknęło?... Ci co budowali te drogi, spoczywają dawno pod ich głazami, w cieniu drzew, które natura sadziła. Synowie ich legli na tych głazach broniąc ich przed napastnikiem. Dziś jest to cmentarz, po którym się przechadzałem, ja jeden z tych, którzy przed stu laty tu przybyli, by w miejsce życia i swobody dla zysku i chciwości cmentarze budować. Biada ludom żyjącym w pierwotnej prawdzie i błędzie, gdy cywilizacja przybywa tutaj. Przed stu laty przybyli tu Anglicy. Ci apostołowie grabieży i gwałtów, którzyby chcieli świat cały oprawić w okładki swej biblji, sami w funcie szterlinga widząc Boga, owi Anglicy wolni, grali tu rolę koryorskich żołdaków i uzbrojeni w broń palną mordowali nagich synów Molegojoku. Dziś kraj ten jest wyludniony, jest cmentarzem. Czyn godny propagatorów święcenia niedzieli i opium!...

Jakże innemi uczuciami jestem przejęty między tymi Artingalczykami, chciałbym ich bronić albo nad ich słabością zapłakać, lecz biada słabym!

„Ruk“ czyli tańce w Ngarupesgang, które w gronie naczelników zwidziłem, dały mi poznać ich ludowe zabawy, zatem i stopień ich inteligencji. W dzikich pląsach i okrzykach jest jednak dużo estetycznej harmonji i wdzięku.

Przystępuję teraz do sprawozdania z naszej wyprawy do jeziora Ngardok.

Od samego rana uzbrojeni krajowcy dążyli wewnątrz wyspy w kierunku Ngardoku. Uzbrojeni, gdyż jezioro to ledwie 6 mil wewnątrz leżące, dostępne jest dla trzech sąsiednich dystryktów żyjących w wojnie z Artingalczykami. Około 8ej rano ruszyliśmy w drogę. Klub wojowników uzbrojonych w dzidy i nieliczne muszkiety stanowił straż przednią, po za którą połowa naczelników postępowała. Ci ostatni prawie wszyscy byli bezbronni starcy. W środku orszaku postępowaliśmy, Iraklaj i ja, sami. W tem samem oddaleniu za nami co i przed nami szła druga połowa naczelników, za którymi znów reszta z klubu wojowników zamykała orszak stanowiąc niejako straż tylną. W przyzwoitem oddaleniu od drogi którąśmy postępowali, po obu stronach rozsypani w gąszczach lekkonodzy chłopcy grali rolę flankierów.

Król Iraklaj, mężczyzna przeszło 50cio letni, o więcej kobiecych niż męskich rysach, bez zarostu, z wyrazem twarzy smętnym (rozjaśnionym nieco moją wizytą) dobrodusznym ale szlachetnym, z włosami niekędzierzawemi a gładko zaczesanemi z rozdziałem na środku, był prawie nagi. Ciało jego pomimo starości, ani zbyt chude ani otyłe, bez żadnych nieestetycznych zarysów, pełne i gładkie, nie obudzało żadnego niesmaku. Biodra miał okryte wołochatą materją przepasaną szerokim tkanym pasem, na szyi i piersiach wisiał szeroki naszyjnik z korali, na głowie miał złotą koralami zdobną przepaskę. Orszak nasz zwolna postępował po żarem słonecznym wypalonych pagórkach. To przedzieraliśmy się przez w popiół spieczone krzaczyste paprocie, to znów wilgotne gaje dolin dawały nam na chwilę błogi cienisty odpoczynek. Przewidując, że podobna wycieczka da się we znaki naczelnikom, bez wyjątku siwowłosym starcom, starałem się ich uwolnić od tak uciążliwej grzeczności towarzyszenia mi, wszystkie jednak przedstawienia były daremnemi. Nareszcie po trzygodzinnym marszu, oblani potem, znaleźliśmy się na wzgórzu, pod stopami którego Ngardok kryło swe wody w cienistych gąszczach. Za chwilę byliśmy w szałasach ponad brzegiem wystawionych.

Większa część naczelników dziś po raz pierwszy ujrzała wody Ngardoku, a nigdy dotąd żaden z królów Molegojoku nie zapuszczał się tutaj. Jezioro to bowiem jest unikane przez krajowców z powodu niebezpiecznego sąsiedztwa wrogów. Ma ono swego patrona w mytycznej istocie Goidala, który znów w gronie naczelników ma swego kapłana. Prócz jęku sów żyjących tu w wypróchniałych pniach odwiecznych drzew, zaczarowane to jezioro nie słyszało śmiechu ani piosenki dziewoi artingalskiej. Starzy czarownicy i wróżbici przeróżne baśnie opowiadają o tej miejscowości. Wody jeziora w ciągłych podskokach licznych kaskad dążą na południe, okrążają góry, a pochłonąwszy okoliczne zdroje w dalekim Ngorszulu, w Oceanie się gubią. Rekiny i olbrzymie węgorze znajdują tu bezpieczne siedziby.

Nareszcie zaczęto wyciągać przed paroma dniami zarzucone kosze. Po licznych zaklęciach brunatne zuchy drżąc w duchu, puścili się na wodę złowrogiego Ngardoku na bambusowych tratwach, lecz pod brzemieniem przymusu w niepewnych ruchach niedołężnie brali się do wyciągania głęboko zanurzonych i na mule osiadłych koszów.

Dzielni ci ludzie, lecz dzieci na duchu, obawiali się, aby z koszem nie wyciągnęli jakiego potwora-ducha, dopiero kiedy kapłan Goidala, siwowłosy starzec po krótkiej modlitwie i zaklęciu ogłosił pomyślną wróżbę, wylękli rybacy nabrali ducha i siły i z niemałym trudem powyciągali kosze.

Wiele ryb i mięczaków wydobyto z niemi,

a z tych cztery szczególnie ryby okazały się dla mnie nieznanemi dotąd. Tak więc jeden z moich celów został osiągniętym. (C. d. n.)

Zarys historji kobiety w Rossji.

Według Szaszkowa skreślił

Dr. Jan Stella Sawicki

(Ciąg dalszy.)

III.

Kobiety zawsze rwały się do swobody z rodzinnej niewoli, dążąc do udziału w społecznem życiu. Uciekając od swoich rodziców i mężów, kobiety nieraz zbierały szajki i stawały się słynnymi atamanami rozbójników. W epokę Razina, jedna mniszka około Arzamasu zebrała bandę i stanęła na czele zbuntowanych chłopów, szerząc postrach na całą okolicę. Zwycięzca jej, książe Jerzy Dołhoruki, kazał ją spalić w zrębie. Gdy zaczęto ją palić, mniszka rzekła: „Gdyby wszyscy tak wojowali jak ja, to książe Jerzy uciekł by od nas.“ Nawet kobiety wyższych klas umiały korzystać ze swobody i wyrwawszy się z zamknięcia, szczególnie w nocy, w męskiem ubraniu konno jeździły na hulankę. W końcu 17 wieku ostre odosobnienie kobiet zaczęło znikać. Po objedzie zwykle wychodziła gospodyni domu, sama traktowała gości wódką i całowała się z każdym. Kobiety czasami przyjmowały udział razem z mężczyznami w zabawach, piły razem, całowały się i bawiły. „Kobiety, pisze Korb, można teraz widzieć, gdy jadą w swych powozach do cerkwi lub do przyjaciół. Lecz te wyjazdy są odstępstwem od dawnych zwyczajów, według których karety zwykle tak się zamykały szczelnie, że siedzące w nich kobiety nic a nic widzieć nie mogły. Nawet w carskim pałacu, w którym system zamknięcia zachowywał się bardzo ostro, kobiety zaczęły powoli oswobadzać się od tych więzów. W końcu 17 wieku, carycę i ich córki zaczynają wyjeżdżać nawet w odkrytych powozach i pokazywać się publicznie w oknach pałacu. W dzień imienin swoich caryca przyjmowała już wszystkich bojarów, czego dawniej nie było, a wielka księżna Zofja zrzuca ostatecznie okowy dawnych zwyczajów, pokazuje się publiczności razem z braćmi. W pałacu odbywają się teatralne przedstawienia, na których są już kobiety, wprawdzie jeszcze oddzielone od innych widzów zasłoną. Carówna Natalja Aleksiejewna urządziła przedstawienie publiczne, na którem sama występowała jako aktorka w komedji Moljera „Lekarz mimowoli.“ Ta carewna sama pisała komedje i po jej śmierci pozostała bibljoteczka dzieł dramatycznych. Jednem słowem już przed reformą Piotra, Moskiewki zaczęły dążyć do wyjścia na swobodę i witały z największą sympatją wschodzące słońce wolności osobistej. Caryca i carewny, a także przybliżone do nich bojarynie, wpływem swym obroniły wielu ludzi od śmierci i prześladowania, jednych podniosły, a drugich strąciły ze szczytu potęgi i znaczenia. Nareszcie przed samem wstąpieniem na tron Piotra I, to jest w końcu 17 wieku, pojawia się na scenie rozumna, śmiała i energiczna Zofja, która owładnęła carską władzą, rządziła państwem, dawała publiczne audjence, sądziła różne sprawy, i utworzyła obszerny spisek, który o mało nie zrzucił Piotra z tronu.

V.

W końcu 17 wieku stary patrjarchalny byt moskiewskiego państwa tak się rozruszał, że nawet najwięksi konserwatyści widzieli potrzebę zmian i nowego porządku. Na czele tego nowego ruchu wystąpił Piotr I, ten nowoczesny Iwan Groźny, obznajomiony z europejską cywilizacją. Reforma jego podkopała znaczenie rodowej zasady, bo już nie ród i znaczenie rodowej zasady, bo już nie ród i pochodzenie zaczęły dawać znaczenie, lecz rangi, zdolność i zasługa. Reforma otworzyła drzwi więzień, w których żyły kobiety i zrobiła je członkami społeczeństwa. Przekształcenie to szło z góry, od stolicy, i powoli zaczęło szerzyć się na prowincji. Wreszcie zmiana ta nastąpiła nie tak szybko, jak podają niektórzy historycy, czytamy bowiem u opata Szappa, który zwidzał Rossję w początku 19 wieku: „Ponieważ mężczyźni nie szanują kobiety, nie odgrywa ona tu żadnej roli, a jakaż społeczność może się utworzyć bez niej? Kobiety prawie nieustannie żyją zamknięte w domach; tam przepędzają czas w bezczynności, w nudach; największą część nie czyta nic, bo czytać nie umie. Na wielkie objady zapraszają mężczyzn i kobiety, lecz te ostatnie nie jedzą z nimi przy jednym stole, a nawet nie w jednym pokoju. Gospodyni domu wchodzi tylko w tej chwili, gdy mężczyźni siadają do stołu, przynosząc wódkę gościom, a następnie wychodzi znowu. Nadużywając prawa siły, mężczyźni ustanowili najniesprawiedliwsze prawa, przeciw którym dotychczas nic nie może zrobić piękność i delikatność kobiet. Te ostatnie można widzieć tylko w obec ich mężów, lecz jeżeli będziecie grzecznymi i uprzedzającymi dla nich, drugi raz już ich nie obaczycie. W oddalonych od stolicy miejscach, kupcy, duchowieństwo i urzędnicy trzymają się dawnych patrjarchalnych zwyczajów, i reforma Piotra w nasze dni jeszcze nie przenikła we wszystkie klasy narodu.“

Wreszcie reforma ta nie nastąpiła bez walki, bo wszyscy wychowani pod wpływem dawnych poglądów opierali się jej z całej siły; lecz reforma rodziny jeszcze przy Piotrze puściła głębokie korzenie, a wzmocniła się za panowania czterech kobiet, które zasiadały potem na tronie Piotra. Car nie tylko wypuścił kobietę z więzienia, lecz wprowadził ją do towarzystwa i położył podstawy polepszenia jej rodzinnego bytu. Polepszenie to nastąpiło nie tyle wskutek nowych praw, ile ze zwyczajów, które powoli wciskały się w życie.

Piotr starał się naprzód wykorzenić dawny zwyczaj, mocą którego nie młodzi ludzie lecz ich rodzice zawierali związki małżeńskie. Wskutek tej reformy dziewczęta wkrótce wywalczyły sobie wielką swobodę w wyborze męża, opierając się energicznie woli rodziców, którzy w obawie swego okropnego cara, musieli chcąc nie chcąc, ograniczać się na moralnym wpływie. Ucieczki z domu z ukochanym były bardzo częste, lecz sympatja nie tylko kobiet, lecz i mężczyzn spotykała wszędzie kochanków i rodzice musieli przebaczyć nieposłusznym córkom. Zdarzało się nawet, że kobieta wybrawszy sobie narzeczonego siłą zmuszała go do zawarcia małżeństwa. Marków opowiada następne zdarzenie: Niedaleko od Moskwy mieszkała w majątku swoim kobieta lat trzydziestu. Do sąsiedniej wsi przyjechał młodziutki oficerek, syn znanego jenerała. W czasie jednej z wizyt, którą zrobił u sąsiada, ta zaprosiła go na spacer. Przechadzając się zaszli do cerkwi, gdzie znaleźli popa przed ołtarzem z ewangelją w ręku. Na zapytanie gościa, co to ma znaczyć, gospodyni odpowiedziała: to znaczy, że oni mają wziąć ślub z sobą natychmiast. Młodzieniec zaczął się opierać, lecz energiczna kobieta ukazała mu stojących opodal ludzi z rózgami, i dała mu do wyboru — ożenić się lub być osieczonym. Wybór był nietrudny — i oficer ożenił się niezwłocznie.

W tych czasach srogie prawa, tyczące się małżeństwa, jeszcze istniały, lecz praktyka życiowa już zrobiła w nich wiele wyłomów. Przy protekcji i łapówkach wszystko dawało się zrobić, szczególnie ludziom wyżej położonym. Nawet biskupi petersburscy za 50 rubli pozwalali żenić się z bliskiemi krewnemi i dawali ślub, wiedząc, że żeniący się ma już żonę. Przy Katarzynie, jeżeli rodzice skarżyli się, że im ukradziono córkę, caryca kazała dowiadywać się czy młodzi kochają się, a jeżeli tak było, polecała rodzicom pobłogosławić dzieci. Przy takiem usposobieniu rządu i wyższych urzędników, władza duchowna, odgrywająca w Moskwie zawsze rolę posłusznego sługi, zmieniła wiele dawnych ograniczeń. Naprzykład, dawniej małżeństwo Moskiewek z cudzoziemcami uważało się za grzech; Piotr zażądał, a Synod uchwalił, że małżeństwa podobne nietylko są pozwolone, lecz są chwalebne, jeżeli przynoszą korzyść państwu. Małżeństwa więc z cudzoziemcami stały się rzeczą bardzo zwykłą, i wpłynęły na rozwój i wykształcenie Moskiewek. (C. d. n.)

STUDJA ESTETYCZNE

Wojciecha hr. Dzieduszyckiego.

(Ciąg dalszy).

Ów Poliktet i współczesny z nim Fidjasz napełnili swoją sławą starożytność. Najgłośniejsze imię Fidjaszowe przeszło średnie wieki, i podziśdzień brzmi pełną chwałą choć powtarzaną raczej niż odczutą. Głośne bowiem arcydzieła Fidjaszowe zaginęły niepowrotnie. Były to gmachy raczej jak posągi. Ich jądrem były wielkie rusztowania drewniane, na kilka piątr wysokie, które nakrywano płytami z kości słoniowej przedstawiające w całości kolosalnej nieziemskie ciało wszechmocnego bóstwa.

Złote szaty przyoblekały ciała, złote narzędzia pozostawały w rękach kolosu, a na szatach i narzędziach wykuwał artysta tysiąc płaskorzeźb mniejszych rozmiarów. Taką była Atene w Partenonie, w świątynnej celi w Atenach, takim był Zews Olimpijski ustawiony w pobliżu wiekopomnego stadjum. Nie dziw że dzieła wykonane z tak kosztownego a ułomnego materjału nie przetrwały najazdów barbarzyńskich i przewrotów domowych dwóch tysięcy lat przeszło.

Inne arcydzieło równie kolosalne albo może jeszcze kolosalniejsze — posąg Ateny Promachos ciskającej włócznię — jeszcze w średnich wiekach stało jakby wieża na Ateńskiej akropoli. Podobny do Fidjaszowych Poliktetowy posąg Hery w Argos został później zabrany do Carogrodu, i zdobił Wschodnią stolicę aż do roku 1204 po Chrystusie. Wtedy te stopili kolos ów Francuzi i Wenecjanie. Co się wreszcie stało z Elejską Afrodytą Fidjasza, i z Dionyzosem Ateńskim Alkomenesa — niewiadomo. Bylibyśmy tedy zmuszeni poprzestać na przytoczaniu opisów mówiąc o dziełach Fidjasza, gdyby nie posągi z Parte-

nonu, wykopaliska Ateńskie i Elewzyńskie, i gdyby nie mnogie posągi i popiersia przedstawiające arcydzieła tego mistrza.

W wyobrażeniu Fidjasza, bogowie mieli samą postawą wszechmoc zdradzać. Ciało ich miało łączyć ideał piękna ze spokojem władcy i dychać potęgą, a mimo to miało być wolnem od wszelkich znamion pracy. Nie same tylko większe od ludzi ciała, nie same tylko spadziste i wielkie ramiona, suche muskuły mężów i olbrzymie niewiast łona miały postacie owe wznieść ponad poziom czysto ludzkiego ideału. Długie szaty, berło i korony nie starczyły mu na świadectwo potęgi, bo one mogłyby wskazać tylko królewską godność. Trzeba było posągom, obok idealnego i zupełnie żywego i łudzącego piękna, jeszcze i taki wyraz nadać, by każdy widz czuł że one i idealną duszę posiadły. A duch idealny byłby wiecznie spokojny i jasnowidzący i wiecznie szczęśliwy. Nie zamyśliłby się nigdy, nie strapił, niczego by nie szukał i nie znałby niepokoju. Wszelka niedoskonałość i skończoność duchowa jest znamieniem jednostki, a duch — ideą jest wszechwiedzy i nieskalaności.

Więc zaraz na płaskorzeźbie Elewzyńskiej przechowanej w świątyni Tezeusza w Atenach, widzimy wieczny pokój bóstwa. Dzieło to, jakkolwiek pewna twardość fałdów młodą jeszcze rękę Fidjasza zdradza — jest niewątpliwie dziełem owego mistrza bo on rzeźbami zdobił świątynię w Elewzys.

Płaskorzeźba przedstawia w naturalnej wielkości postacie Demetry, bogini urodzaju, córy jej Perzefony, i syna Perzefony Jakcha. Dwunastoletni a zupełnie nagi Jakchos zajmuje środek płyty, obrócony twarzą ku lewemu ramieniu widza. Przed nim stoi Perzefone dwudziestoletnia może, przyobleczona w długie spadające szaty. Zwrócona twarzą do Jakcha, wkłada mu lewicą ziarna zbożowe do ręki; prawicą trzyma pochodnię. Za Jakchem stoi Demeter, ubrana podobnie jak jej córka, a świadcząca pełnością kształtów o dojrzałym już wieku. Wszystkie postacie profilem zwrócone do widza. W grupie tej dał najpierw artysta dowód dziwnego daru odtworzenia ciała ludzkiego. Każdy członek drga życiem, a wszystko świadczy o zdrowiu i mocy. Wszystkie członki owych postaci podobne do obywateli Greckiej rzeczypospolitej, w której nikt niczyjej nie winien wiązać swobody, i w której każdy obywatel winien dzielnie ogółowi służyć.

Tylko tu ciało bóstwa rzecząpospolitą.

W rzeczypospolitej jednak słuszna, aby ci co cnotą i mądrością zacni, we wszech domowych sprawach rej wodzili. Są więc członki, którym oddano słuszne nad innemi pierwszeństwo. Ramiona o włos szersze jak zwykle świadczą o boskiej bogów potędze, łono bogiń mówi o niewieściej naturze doskonałej a mąk niewieścich pozbawionej, nogi i ręce długie dowodzą szybkości ruchów i daleko sięgającej woli, stopy i dłonie nie mają na sobie znamion upokarzającej, nużącej pracy. To wszystko znać wyraźnie na boginiach, ale tego nie pokazywano ciekawej gawiedzi. Szaty długie przyoblekają boskie niewiasty i choć ich fałdy dozwalają poznać doskonałość ciała, przestrzegają one że ze grozą i obawą trzeba się do królowych zbliżać, że przed niemi oko spuścić trzeba i uderzyć czołem. Dalekie rodem od ludzi, z błogosławieństwem urodzaju między nich zeszły.

Obcujemy z bogami — oglądamy ich dobroć i pokój wszechmocny — oni i na ziemi potężni i groźni.

Ale i tu jeszcze nie opanuje nas pełna groza ideału. Widzimy u bogiń różnice wieku, a te mówią głośno że i one żyją w czasie, znikome, śmiertelne. Kto chce mieć wyraźne wyobrażenie o tem, czem było owe rzeźbiarstwo Fidjaszowe, w którem się cała kochała Hellada, ten niech pójdzie do sadu klasztoru Hagia Triada w Atenach, i niech stanie z podziwem przed nowo wykopaną kaplicą grobową dwu niewiast: Pamfili i Demetrydy.

We wnętrzu bardzo małej jońskiej kaplicy ujrzymy dwa kolosalne posągi niewieście. Postać na prawo wysunięta siedzi na tronie, tamta stoi przy niej. Obie mają pełne kształty bogiń, długie faliste szaty, nagie ramiona, karbowane włosy, i w tył zarzucone a długie zasłony.

Znaczenie tych posągów dotąd nie wyjaśnione. To pewna, że one nie wykonane wedle typu ludzkiego, i że we wszystkiem, tak rozmiarami swemi, jak i charakterem twarzy ideał bogiń przypominają. Są to albo wyobrażenia przemienionych śmiercią umarłych, albo, co prawdopodobniejsza, wyobrażenia dwu bogiń wiekuistych. Siedząca jest to albo Hestja, albo Rhea, zasiadająca na stolicy w przybytku umarłych. Stojąca jest albo Ireną, bogini pokoju, albo Perzofoną.

Jakkolwiek rzecz wielkiemi ciosami dłuta wykonana, i jakkolwiek nieznać na tych posągach delikatnych żyłek drgających pod skórą, jednak proporcje wszystkie tak dziwnie zachowane, że zdaje się ciągle iż te marmurowe postacie oddychają, że chodzić i mówić zaczną. Ten pozór życia i prawdy już nietylko podziw dla sztuki mistrza budzi, lecz chwyta za uczucie, i każe całą piersią wyraz posągów odczuwać. A gdy tak doskonały widzimy obraz życia, wprawia nas w tem silniejszy podziw boska potęga kształtów, które tu w posągach o wiele wyraźniej jak w Elewzyńskiej płaskorzeźbie występują. Widzimy moc i zdrowie, widzimy tym razem piękność niekrępowaną względami czasu i śmiertelności. Kształty tak okazałe, jak chyba u czterdziestoletnich niewiast, a twarze tak niepokalane jak u dziewic co u progu życia stanęły. Urok lata z urokiem wiosny połączony. Tak mogą tylko nieśmiertelne istoty wyglądać

Możne ramiona, piersi potężne, mówią o mocy. Czoło szerokie myśl przypomina; usta rozwarte mówią jakąś potężniejszą niby mową, nozdrza szerokie i wzdęte dychają jakby były bramami niezmiennego życia. Oczy ogromne pod hardemi brwiami patrzą w głąb duszy.

Wszystko świadczy, że to żywe ale nieprzemienne postacie. Harde i wieczne jak kolumny Partenonu, wieczne jak one a do nas podobne, serca nasze na wskróś wzrokiem przeszywają. Patrząc na nie czujemy strach co nas ogarnia na widok w spokoju swym stokroć możniejszych istot, a strach ten i groza i tu najwyższą rozkoszą estetyczną.

Prócz tego cieszy się jeszcze nasz umysł ładem i harmonją linij spływających harmonijnie. Rozmaitość w prostotę wlana tem że jedna z bogiń siedzi a druga stoi. Hardość nadana tem że jedna prawicę, a druga lewicę od łokcia począwszy pionowo podniosła. Tym ruchem zdobyte nowe pionowe linje, a linje takie oko i myśl odrywają od ziemi.

To podniesienie rąk uwydatnia zresztą i wyraz bogiń. One rękami temi zasłony w tył odsuwają. One chcą nas widocznie porazić całą potęgą piękności, która u groźnych bogiń śmierci zazwyczaj przed ludźmi ukrytą bywa. To co wzmaga wrażenie architektoniczne linij, wzmaga i wyraz hardej i nadludzkiej a niedostępnej i pewnej siebie potęgi, jawiącej się nam jakby cudo z za świata. To tworzy wyższą jedność i wyższą harmonję arcydzieła, a całość przybija nas do ziemi i wzrusza widokiem swoim najgłębsze wnętrze duszy naszej. Jest to jakby objawienie. Artysta stworzył dzieło, na którego widok zapomina się zupełnie o jego sztuce. Tak samo wielkiemi ciosami wykonany uszkodzony posąg Hery zachowywany w świątyni Tezeusza. Here siedziała na tronie w długiej szacie. Zaczesana była gładko i djadem miała na głowie. Lewicę zarzuciła na tył siedzenia, a prawicą trzymała berło z kukułką. Postawa ta rodziła wielką rozmaitość linij w jedności pięknego organizmu. Od zwartej masy tworzonej przez tron i ciało bogini, odstawała wielka przestrzeń próżna w lekkie ramy przez berło i nagą rękę ujęta.

Oko posągu, które dzięki szczęśliwemu uchwyceniu proporcyj życiem drga, wraz z twarzą trochę na bok zwrócone, jakby się bogini w coś zapatrzyła, a dzięki temu potężna postać zdaje się z nieskończonym spokojem w nieskończoność patrzyć. Wieczna bogini zapatrzona w coś jak się zdaje równie wiecznego, budzi w widzu bezmiar tajemniczej tęsknoty. Dusza nieświadomie wraz z bogini wzrokiem w przestrzeń bez końca goni, człowiek myśl swą tak rozciąga i tak na jej skrzydłach buja, że świat codzienny w niewyraźnej a wielkiej myśli, jakby we mgle tonie i z tego tryska nowe źródła estetycznej roskoszy.

Choćby wiele można mówić o męskich typach Fidjaszowych, i o kompozycji metopów Partenonu, odłożymy to do innej może sposobności i spojrzymy już tylko na kilka na świat cały sławnych kopij zatraconych arcydzieł mistrza.

(C. d. n.)

W pamiętniku.

Chwila nas łączy na ziemi,
I chwila na wieki dzieli,
Kruciuchna jak oka mgnienie...
Cóż strojne blaski złotemi
Wypływa z czasu topieli?
Wspomnienie — jedno wspomnienie!

Ono z aniołem przeszłości
Przepływa życia odmęty,
Odwieczne zwidza zwaliska,
Po starych cmentarzach gości,
Z za księgi żywota zamkniętej
Czytając różne nazwiska!

Czy uśmiech minionej wiosny,
Czy łzę wskrzeszonej boleści,
Czyli myśl tęskną w rozłące —
Wszystko ten anioł żałosny
Z rozkazu Pana pomieści
W swej szczerozłotej skarbonce.

I z uczuć stubarwnej tęczy
Powoli długą nić snuje,
Co przeszłość z przyszłością łączy,
Podobną tkance pajęczej,
Którą choć wicher popsuje
Pracownik cierpliwie kończy.

Każda tu chwila przeżyta,
Jedną część naszej istoty
Temu duchowi poświęca;
I każdy kwiat co okwita
I mrący motylek złoty
I drobna łezka dziecięca!

Bo kiedyś tego anioła,
Co życia zapisał dzieje
Na pargaminie wieczności,
Stwórca przed sąd swój powoła,
I wielkie światło rozleje
Na ciemną kartę przeszłości!...

Natenczas ujrzą się wszyscy,
Co choćby uściskiem ręki,
Choć ócz się zbiegli spojrzeniem —
Ujrzą dalecy i bliscy
W promieniach nowej jutrzenki,
Jak się widzieli — wspomnieniem!

1876. *Marja B.*

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XII.

Na szczęście, nie domyślając się kacerskich zamiarów, jakie milczący mężczyzna miał względem niej, pani Markle gorliwie zajmowała się myciem i w dalszym ciągu prowadziła monolog:

— Jeżeli mówię twardo pracujące, Sal, ciągnęła dalej zwracając się do swej towarzyszki, której jedynem zajęciem było uśmiechanie się do Gabryela z poza naczynia, które wycierała i odwracanie się tyłem do pani Markle, — jeżeli mówię twardo pracujące, Sal, to nie chcę tem powiedzieć, że nie masz mężczyzn, którzy umieją robić to samo i wiele jeszcze innych rzeczy — mężczyzn, którzy na mnie i na ciebie spoglądają..

W tem miejscu pani Markle stłukła talerz; potem po chwili westchnęła, odwróciła się i z lekko zarumienioną twarzą i bystrem spojrzeniem czarnych swych oczu oświadczyła, że dzisiejszego poranku czuje się tak „nerwową", iż nie może dalej robić. Potem nastąpiło uciążliwe milczenie. Na szczęście Gabryela, chuda Sal podtrzymała w tej chwili rozmowę i odwróciwszy się tyłem do swej pani, i zapominając całkiem o obecności Gabryela, tak przemówiła do ściany:

— Musi się być nerwową, jeżeli tak pracuje się na czterdziestu stołowników, i jeszcze przyrządza się zawsze jadło dla przejeżdżających, a niema się nikogo do pomocy. Gdybyś pani dostała reumatyzmu w karku, jak to się już raz stało, to możeby kto zajął się panią. Śmierć w rodzinie możeby miała tę korzyść, że przyjaciele zebraliby się dokoła niej, kiedy teraz od zajęć swych oderwać się nie mogą. Kaszel, który od pięciu tygodni męczy małą Manty, nie jedną matkę nabawiłby suchot nerwowych.

W tej chwili zrodziło się w Gabryelu żywe przypomnienie o tem, że przychodząc tu widział małą Manty, łażącą po kałużach w pobliżu domu i prawdziwie po ojcowsku spoglądał na nią. Zmięszał się, a zmięszanie to ujawniło się w nim w sposób charakterystyczny. Wydobywszy mały grzebyk z kieszeni, począł rozczesywać nim gładkie swe włosy, szczególnie jakoś uśmiechając się. Wdowa, która często przypatrywała się tej manipulacji, odgadła jej przyczynę i przyjąwszy ją jako należną sobie dań, poczęła uczuwać żal. Wskutek tajnej, kobietom wrodzonej sympatji, żal ten wnet udzielił się i drugiej kobiecie.

— Pani dziś nie bardzo się trzyma, rzekła Sal, i jeżeli chcesz pani usłuchać mojej głupiej rady, to zaniechasz wszelkiej roboty i pójdziesz do pokoju wypocząć wygodnie, pogadawszy z godzinkę z Gabryelem; jeżeli tylko nie czeka tu on w tym zamiarze, by jaką sztukę spłatać w gospodarstwie. Ja nie mogę robić, jeżeli mężczyzna tak blisko uwija się. Ja tu naczynie uporządkuję. Daj mi pani swój fartuch. Pani niema tyle nawet czasu, by sama mogła ogarnąć się cokolwiek. Włosy pani całkiem osunęły się.

I chuda Sal poczęła porządkować włosy pani Markle, lecz ta żartobliwie odepchnęła ją, zrobiwszy uwagę, że za wiele ma do roboty by myśleć o podobnych rzeczach.

— Trzeba tylko parę razy szczotką pociągnąć, dodała z lekceważeniem; daj temu pokój, słyszysz, Sal!.. No! widzisz coś zrobiła!

A zrobiła. Ze zręcznością właściwą swej mściwej płci tak się zarządziła, że całe bogactwo włosów pani Markle rozsypało się i spadło na jej pyszne ramiona — i pani Markle pewno śmiejąc się uciekłaby w kąt pokoju, gdyby przebiegła Sal nie przytrzymała jej, dopóki poetyczny ten obraz nie wywarł całego swego efektu na niepodejrzywającego nic Gabryela i głęboko nie utkwił mu w pamięci.

— Szczotka, oho! rzekła Sal; jakto dobrze, że ludzie mają swój rozum, a — własna pochwała cuchnie: ale kiedy mężczyzna taki, jak adwokat Maxwell niedalej jak wczoraj, gdy tu oto siedział za stołem i na panią z podełba zerkał, gdym ja zupę obnosiła, a pani niczego nie domyślała się, i jeden lok spadł jej i suwał się po talerzu — kiedy mi wtedy adwokat Maxwell powiedział: „Sal! niejedna wykwintna dama w Frisco *) dałaby sporo pieniędzy, gdyby miała takie włosy jak Zuzanna.

Ale tu Sal musiała zatrzymać się, gdyż zawstydzona pani Markle, uciekła z pokoju.

— Czy pan nie wiesz, zapytała Sal Gabryela po odejściu pani Markle, biorąc się znowu do roboty, czy adwokat Maxwell robi jakie interesa.

— Nie, odrzekł nic nie podejrzywający Gabryel, który tak samo nie zauważył podstępnej zręczności tego zapytania, jak przedtem nie zrozumiał zręcznego manewru z włosami pani Markle.

— Występuje na teraz znacznie częściej, aniżeli przedtem, i nieraz już aż pięć objadów zjadł tu w jednym dniu. Jak pan wchodziłeś sądziłam, że to on. Nie przypuszczam by Zuzanna zwracała na to uwagę, bo ona nie wiele zna się na takich męzkich kościotrupach, — ciągnęła Sal dalej, wpatrując się bystro w szerokie barki i muskularne członki Gabryela. Co pan, jako przyjaciel domu, myślisz teraz o Zuzannie, jak ona wygląda?

Gabryel pośpieszył zapewnić Sal, że pani jej bardzo dobrze wygląda; ale chuda Sal odpowiedziała na to tylko westchnieniem i wątpliwem kiwaniem głową.

— Powierzchowność jej myli, panie Gabryelu, rzekła. Nikt nie wie, ile cierpi biedne to stworzenie! Umysł jej od niedawna jest nieco wzburzony, a w takim stanie tłucze ona wiele naczynia, Widziałeś pan jak niedawno stłukła talerz? Otóż, może nie powinnabym mówić, ale ponieważ pan jesteś przyjacielem i posiadasz zaufanie — bo ona udusiła by mnie... taka to dumna natura... tak coś jak ja — ale ja zawsze poznaję po czerapach, czyś pan tu był. Ot, widzisz pan, byłeś tu przed dwoma tygodniami — i do wieczerzy zabrakło filiżanek!...

— Może to febra trzęsąca, rzekł przerażony Gabryel, widząc że obawy jego ziszczają się, i wstał z krzesła; ja mam u siebie pewien indyjski środek na taką febrę, pobiegnę i przyniosę go, lub przyszlę.

I myśląc o tem zamierzał wycofać się ale Sal zastąpiła mu drogę z wyrazem tajemniczego przerażenia na twarzy.

— Jak ona tu teraz przyjdzie, rzekła, a zobaczy, że pan wyszedłeś, to przy delikatnem usposobieniu umysłu w jakiem znajduje się, mogę powiedzieć usposobieniu nerwowem — to ja nie odpowiadam za życie biednej istoty. Jeżeli pomyśli o tem, żeś pan wyszedł, po tem wszystkiem co się stało tu między nią a panem, to pewno śmierć sobie zada.

— Ale cóż się stało? zapytał Gabryel z jakimś nieokreślonym strachem.

— Nie moja to rzecz, odparła chuda Sal, wynurzać zdanie o czynach innych ludzi, lub też mówić co znaczy to i owo, albo w ogóle o ludziach rezonować, albo o stłuczonym talerzu i grzebieniu do włosów... (Gabryel kręcił się) wydawać sąd o ludziach, którzy są zanadto grzeczni i ogiędni... usta swe wobec innych otwierać! Nie moja to rzecz, łamać sobie głowę nad tem, co znaczy, gdy jaka kobieta jest nieco cierpiącą, a mężczyzna, jak szalony, leci po lekarstwo. Ja myślę tylko o moich własnych sprawach — już ja taka jestem. Jakże to często Sue mówiła do mnie: „Jeżeli była kobieta, która myśli swe zamknęła i klucz wyrzuciła, to taką kobietą ja jestem, Sal." O! pani nią jesteś, łaskawa pani i wielki już czas by prosta jak ja służąca, przestała gadać, gdy panowie i damy porozumiewają się,

Zaledwie potrzeba nadmieniać, że ostatnia część tej mowy dotyczyła wdowy, która w tej samej chwili ukazała się we drzwiach w nowej perkalowej sukni, która pyszną jej postać bardzo korzystnie uwydatniała, i że chuda Sal przez okazanie wysokiego szacunku dla aktorów starała się dać poznać, że sytuacja staje się poważniejszą.

— Spodziewam się, że nie przeszkadzam rozmowie, rzekła żartobliwie wdowa, zatrzymując się we drzwiach. Jeżeli pan i Sal macie jakie prywatne sprawy do załatwienia, to zaczekam.

— Nie sądzę, by p. Gabryel miał jeszcze do powiedzenia coś takiego, czegoby pani słyszeć nie mogła, odrzekła Sal, dając do zrozumienia, że Gabryel zrobił jej poufne zwierzenie, którego przez delikatność głośno wyjawić nie chce. Ale ja nie bardzo jestem usposobiona do tego by mi się ktoś zwierzał ze swoich uczuć.

Trudno określić co więcej niepokoiło Gabryela: żartobliwość pani Markle, czy też niemiłe domysły chudej Sal. Wstał w zamiarze podania pomocy pani Markle w razie napadu nerwowego, pomimo silnego oporu chudej Sal, o której zdolnościach pod tym względem nie powątpiewał. — Usiłował ratować się ucieczką. Ale przy straszliwej myśli, iż może bez ratunku zawikłany będzie w tę historję, może w nadziei, że jeszcze co wydarzy się, co umożebni objaśnienie z jego strony, może ze wstydu, że zmyka wobec niebezpieczeństwa — dość że zamiast uciekać, niezdecydowane kroki swe skierował do pokoju pani Markle.

Pani Markle podała mu krzesło, na które siadł trwożliwie, gdy tymczasem Sal wśród głośnego brzękania talerzami rozpoczęła donośny śpiew, widocznie mający na celu dać do zrozu-

---

*) Tak górnicy przez skrócenie nazywają miasto San-Francisko. P. T.

mienia wstydliwej parze, iż nie może nic dosłyszeć z czułej wymiany ich uczuć. Na tę myśl Gabryel poczerwieniał aż do uszu.

Tego wieczora Gabryel powrócił do siebie po robocie, więcej wzruszony niż zwykle. Na zapytania Olly odpowiadał krótko i wymijająco. Nie leżało jednak w jego naturze przemilczać długo nawet o przedmiotach nieprzyjemnych, więc Olly czekała cierpliwie. Jak się spodziewała, zwierzenie się nastąpiło po wieczerzy, która przeszła bez zwykłych krytycznych uwag ze strony Gabryela. Olly przysunęła małą pakę, służącą jej zamiast krzesła i główkę swą położyła mu na piersiach.

Gabryel zapalił fajkę przy świecy, puścił parę kłębów dymu, a potem wyjmując fajkę z ust rzekł spokojnie:

— Olly, źle idzie.

— Co źle idzie, Gabie? zapytała filuternie Olly, domyślając się odpowiedzi i uśmiechając.

— Interes.

— Jaki interes, Gabie?

— A ten interes z ożenieniem się z panią Markle, odrzekł, starając się nadać swym słowom ton spokojnej obojętności.

— Dlaczego? zapytała Olly.

— Ona mnie nie chce.

— Co? zawołała Olly szybko się wznosząc.

Gabryel unikając wzroku siostry utkwił oczy w ogień i rzekł powoli, ale stanowczo:

— Nie chce mi ofiarować swego serca.

— A to szkaradna, nadęta, brzydka baba! zawołała gwałtownie Olly. O, gdybym mogła ją... Co? Wszak nie masz mężczyzny, któryby mógł równać się z tobą!... A toż bezwstydna!

Gabryel machnął fajką w powietrzu, jakby coś dumał, ale z tak widocznie wesołą rezygnacją, iż Olly znalazła się spowodowaną spojrzeć na niego z niedowierzaniem i zapytać:

— Cóż powiedziała?

— Powiedziała, odrzekł Gabryel powoli, że serce... swe... już... innemu... oddała. Sądzę, że wpadła w poezję; powiedziała:

„Serce moje należy do innego,
„I twojem być nie może."

Zdaje się, że tak tam było. Wszystkich wyrazów nie pamiętam. Ale ty wiesz, Olly, że w takich okolicznościach kobiety chętnie popisują się z poezją.

— Kto on jest? zapytała Olly nagle.

— Nie dała mi tego do zrozumienia, odrzekł Gabryel. Sądzę, że nie miałem żadnego prawa pytać o to.

— No i cóż? zapytała znowu Olly.

Gabryel w zakłopotaniu utkwił oczy w podłogę i poruszył się z niecierpliwością.

— Co takiego? zapytał.

— Cóżeś ty jej powiedział?

— Na to?

— Nie, poprzednio. Jakże zacząłeś? badała Olly dalej, podparłszy sobie wygodnie podbródek i zaglądając bratu w oczy.

— Ot, jak to się zwyczajnie mówi, odpowiedział Gabryel, machając fajką, chcąc tym sposobem wytłumaczyć, ogólnikiem zwykłe wyrazy oświadczyn.

— Ale jak to było, Gabie? Musisz mi wszystko odpowiedzieć.

— Ha! odparł Gabryel, w sufit wpatrując się, kobiety w ogóle są cokolwiek wstydliwej natury i jedna tylko jest droga, na której u nich coś wyjednać można, a mianowicie bez ceremonji wystąpić od razu. Otóż widzisz Olly, gdym tam wchodził, to tak, mimochodem, pogłaskałem trocha Sal pod brodę... tak trocha... rozumiesz... potem wszedłszy objąłem wdowę wpół i dwa czy trzy razy pocałowałem, widzisz, tak, byle ośmielić się i znaleźć się jak należy.

I potem wszystkiem ona nie zechciała ciebie? zapytała Olly.

— Nie, za żadną cenę, odrzekł Gabryel stanowczo.

— Szkaradne stworzenie! zawołała Olly. O! niechno znowu zobaczę Manty, wałęsającą się tu! ciągnęła dalej gniewnie, grożąc swą małą pięścią. A ma właśnie przyjść dziś po jednego naszego szczeniaka!

— Daj pokój, Olly, nie należy robić takich rzeczy, rzekł Gabryel surowo. Nigdy nikomu nie powinnaś mówić o tem. To rzecz poufna, Olly, tylko między mną a tobą, Olly! Zresztą, dodał spokojniej, mniejsza o to! Mężczyzna chcący żenić się, musi przynajmniej dwanaście razy przechodzić przez to. Byłem na to przygotowany. Widzisz, Olly, był raz jeden człowiek, którego dobrze znałem, ciągnął dalej, kłamiąc bezwstydnie, któremu rzecz taka wydarzyła się w życiu najmniej pięćdziesiąt razy; a był nie taki jak ja— każdej kobiecie mógł tysiąc dolarów rzucić w oczy. At, co tam, Olly!... wielu mężczyznom podoba się to nawet... zawsze jest to podbudzającem, gdy się ma coś takiego na względzie.

— Ale cóż ty powiedziałeś na to, Gabie? badała Olly, ciągle z naiwną ciekawością powracając do samej treści rzeczy.

— Ha! stanąłem przed nią i powiedziałem tak: „Zuzanno Markle, powiedziałem, rzecz tak się ma. Ja, z Olly, mieszkam tam na górze, a pani i Manty na dole. Wysoka góra i głęboka dolina rozdzielają dwa kochające serca... a nie masz żadnej racji, dlaczego nie miałaby to być jedna rodzina, i jeden dom... ta rodzina i ten dom — moje. A teraz niech pani oznaczy dzień." — Potem zastosowałem cokolwiek poezji i począłem bawić się moim pierścionkiem na palcu, dodał Gabryel — wskazując na mały złoty pierścionek, na grubym swym palcu; potem pocałowałem ją raz jeszcze, Sal pogłaskałem pod brodę — ot i wszystko!

— I pomimo to nie zechciała ciebie! zawołała Olly zamyślona. Pomimo to wszystko!... A mój Boże! czegoż ona chce?

— Miło mi jest słyszeć cię tak mówiącą, Olly, rzekł Gabryel. Ale nie powinnaś wspominać o tem ani słowa... Mówiła ona o tem, że chciałaby się tu na górze pobudować, że zamierza kupić część dawnego udziału, w którym ostatniego lata spodziewałem się coś znaleźć, ażebyśmy byli bliżej jej, i żeby trocha popatrzeć na ciebie mogła... i, Olly — ciągnął dalej poważnie — jeżeli ona tu przyjdzie i będzie ze mną mieć coś do czynienia, tak jak to pierwej bywało, to niepowinnaś na to zwracać uwagi — już to taki sposób kobiecy.

— Chciałabym ją na tem podłapać! zawołała Olly.

Gabryel spojrzał na Olly z zadowoleniem i rzekł:

— Teraz wszystko już się skończyło. Olly... i lepiej jest, że to tak zostanie. My oboje dobrze na tem wyjdziemy. Przed kilku dniami rozmawiałem z niektórymi kolegami, żeby sprowadzić nauczycielkę z Marysville, i pani Markle mówi że byłoby to dobrze. Ty musisz chodzić do szkoły, Olly. Następującego tygodnia udam się do Marysville, ażeby ci kupić lepsze suknie — i będzie nam tak dobrze jak przedtem. A, pewnego pięknego dnia, Olly, nim się jeszcze opatrzysz — bo takie rzeczy prędko przychodzą — znajdę żyłę w szychcie i będziemy bogaci. Tam w szychcie leży skarb, Olly — w to zawsze wierzyłem. A wtedy udamy się oboje, ty i ja, do San-Francisco i kupimy piękny dom, a potem zaproszę mnóstwo młodych dziewcząteк, najlepszych jakich można będzie znaleźć w San-Francisco, ażeby bawiły się z tobą, i będziesz miała wszelakich nauczycieli jakich ci potrzeba i kobiet, które rade będą zajmować się tobą. I wtedy może zdecyduje się sprawa z panią Markle na czysto...

— Nigdy! zawołała Olly gwałtownie.

— Niech to tak zostanie, rzekł przebiegły Gabryel z widoczną radością w oczach i z słabem poczuciem żalu w piersi. Teraz jest pora by taka mała dziewczynka jak ty poszła spać.

Po tych słowach Olly usunęła się za płócienną zasłonę, wziąwszy z sobą jedyną świecę i pozostawiwszy brata pozornie z największą spokojnością palącego fajkę. Ale Olly nie zasnęła i gdy po upływie pół godziny zajrzała za ścianę, brat jej ciągle jeszcze siedział przy ogniu z zagasłą fajką, głowę wsparłszy na ręku. Podsunęła się ku niemu tak nieznacznie, że się przestraszył.

— Ale ciebie nie martwi ta kobieta? rzekła.

— Nie, odpowiedział Gab, uśmiechając się.

Olly poczęła patrzeć na swoje ręce, a Gabryel na dach.

— Tam w górze, powiedział, jest dziura, przez którą deszcz pada... jutro trzeba to naprawić. Idź, moja kochana do łóżka — przeziębisz się.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*„Lubonie" powieść z X wieku J. I. Kraszewskiego. 2 tomy. Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.*)

Kmiecy ustrój Polski zachwiany przez Popielów zmienił się znacznie pod panowaniem pierwszych Piastów. Rząd gminowładny coraz więcej zaczął się przemieniać w monarchiczny, starodawne wiece, na których ślepi gęślarze i wróżbici rej wodzili, poszły w zapomnienie, a kmieca równość zaczęła zmieniać się, aczkolwiek bardzo powoli w system podobny. Szlachty wprawdzie w późniejszym tego słowa znaczeniu, nie było jeszcze, ale już zaczął wybitnie występować materjał na nią. Mimo to jednak patrjarchalizm w rodzinie kwitnął jak za dawnych czasów. Stolicą kraju był Poznań. Z zachodu napłynęły kunszta i broń nowa. Naród rolniczy zamieniał się stopniowo w rycerski. Już teraz zamożni kmiecie nie pilnowali jak dawniej trzód swoich i barci, zatrudnieniem ich stało się rzemiosło rycerskie. Miecz i oszczep zastąpił długi, biały kij pasterski, oznaka patrjarchalnej władzy; łuski pancerza długą, pasem czerwonym w biodrach przepasaną koszulę.

Przeobrażenia tego dokonała germańska cywilizacja cisnąca się wśród krwi i pożogi z zachodu. Od początku wiadomości naszych o Polsce i Słowiańszczyźnie, widocznym jest ten prąd germańskich ludów na Wschód. „Drang nach Osten" tak samo jak dzisiaj istniał także w dziesiątem stuleciu. Naturalny opór przeciw temu prądowi sprawił przeobrażenie urządzenia wewnętrznego Polski, koniecznością wypadków mu-

siała się ona stać monarchiczną, musiała się stać państwową. Państwo zwierzyło gminowładne urządzenia i zmieniło dawną kmiecą równość w niewydoskonaloną jeszcze hierarchję.

Pełne trudów i ciągłych znojów, było panowanie Mieszka I. Wojowniczy ten i przedsiębiorczy kneź, ciągle musiał walczyć u kresów państwa to przeciw dzikim Pomorcom, to przeciw dzikszym jeszcze margrafom, z pomiędzy których okrucieństwem swem względem wszystkiego co nie niemieckie i drapieżnością odznaczał się słynny Gera.

Niemcy upozorowywali swoje łupiestwa popełniane na Słowianach, a między nimi Polanach, apostolstwem wiary chrześciańskiej, która u małej jeszcze liczby Słowian była rozpowszechnioną. Słowianie nadłabińscy i Czesi przyjęli już religję chrześciańską, Polacy ciągle żyli jeszcze w dawnem bałwochwalstwie. Ciekawa rzecz, że w praktyce tyle było chrześciańskich zasad między pogańskimi Polanami, ile pogaństwa między chrześciańskimi Niemcami. Polanie czcili wprawdzie więcej bóstw, ale w życiu w wielu względach hołdowali wyobrażeniem chrześciańskiej etyki; zasada miłości bliźniego była u nich znana i wykonywana w szerokim zakresie; gościnność, pomoc w nieszczęściu, patrjarchalne poszanowanie starych, oto zalety chrześcjańskich Polan. Tymczasem jednobożni Niemcy pod płaszczykiem religji z nadgranicznych brzegów niby z gniazd sępich, wypadali na spokojne lackie równiny, ogniem i mieczem niszczyli wszystko, mordowali dzieci i starców i żyli tylko łupiestwem. W każdym zamku takim niemieckim, w każdej prawie komnacie znajdował się niezgrabnie wyrzezany, jaskrawo pomalowany, z przyprawionemi włosami krucyfiks, ale za to podziemia roiły się tłumem nieszczęśliwych więźniów, najhaniebniej pokaleczonych, ale za to gnieździła się tam dzikość, nieludzkość i wyuzdana rozpusta.

Trzeba przypomnąć sobie, że w wiekach średnich po wznowieniu cesarstwa rzymskiego, dwóch tylko było władców na świecie: trójkorony biskup rzymski i cesarz rzymsko-niemiecki. Cały świat według owoczesnych pojęć należał do następców Augusta, wszystkie ludy były mu podwładne, a królowie z rąk jego otrzymywali inwestytury. Jakkolwiek cesarstwo niemieckie w ciągłych było rozterkach, wielka to jednak była potęga. Państwo uznające wręcz przeciwne od niego zasady, a przytem słabo zorganizowane oprzeć mu się nie mogło. Takiem państwem była Polska. Brak jej było religji chrześciańskiej, która by ją postawiła w równym rzędzie z innemi mocarstwami i usunęła pozory, dla których Niemcy ją miłowali. Czechy do niedawna jeszcze były w tem samem położeniu, co Polska, religja chrześciańska postawiła je w rzędzie państw europejskich, a z nią nieodłącznie wzmógł się przemysł, zaczęła kiełkować oświata i podniósł się dobrobyt i znaczenie narodu. Z chrześciaństwem wchodziły równocześnie do kraju księgi przepisywane przez mnichów, chrześciaństwo uczyło budować domy boże z kamienia, wzmagało się zamiłowanie sztuki, w ogóle postęp w każdym kierunku.

Mieszko czuł, iż mimo swej własnej i całego narodu waleczności nie oprze się Niemcom, bolało go poniżenie kraju i własnej jego osoby, chrześcijańskie bowiem mocarstwa pogan nawet za ludzi nie uważały, czego najlepszym dowodem jest to, że gdy pewien pogański książę słowiański przyjechał do chrześcijańskiego pana, postawiono dla niego jadła razem ze psami. Mieszko czuł potrzebę przyjęcia religji chrześciańskiej w celach politycznych, nosił się z tą myślą, ale publicznie z nią nie występował, wiedząc na jakie trudności, każdy przewrót społeczny a szczególnie zmiana religji natrafia.

Chrześciaństwo nie było już zupełnie obcem w Polsce, od czasu do czasu przekradali się gorliwie misionarze, tak ze wschodu jak zachodu i pozyskiwali tu i ówdzie prozelitów. Ciągłe napady Niemców także w tym względzie nie pozostały bez wpływu.

Zdarzało się często, że wzięty do niewoli Polak, przyjmował jak wówczas nazywano wiarę niemiecką, a powróciwszy do domu wyznawał ją i dalej. Była więc w Polsce już spora gromadka wyznawców Chrystusa, ale byli oni porozrzucani po całej wielkiej przestrzeni naszej ojczyzny bez pasterza i musieli się kryć z swą wiarą. Poganie przeczuwali grożące im niebezpieczeństwo, nie dozwalali więc chrześcianom bez narażenia się na śmierć okazać na zewnątrz swego wyznania. Lud cały stał po stronie siwobrodych kapłanów, jednakową jak przodkowie jego cześcią otaczał święte chramy i stał pilnie przy starej wierze, którą identyfikował z patrjotyzmem. Niemcy gnietli i uciemiężali gdzie mogli Słowian, naturalna więc rzecz, że ten który przyjmował wiarę tę samą co Niemcy, a z nią razem i niektóre zwyczaje, uważanym bywał jako zdrajca jako wróg ojczyzny. (Dok. nas.)

Listy z Warszawy.

Aurelego Maura.

(*Dokończenie.*)

Wrzesień — 1876.

Teatr nasz przechodzi epokę wstrząśnień. Wybrany z brukowo-literackiego koła reżyser zawiódł oczekiwania nawet swej własnej żony i dzieci. Niedołęstwo kierownictwa przeszło wszelką miarę, tak że trzeba było wśród gradu zewsząd rzucanych pocisków podać się do dymisji. Obecnie reżyserstwo wakuje, o czem naturalnie wspominam pod sekretem, ażeby jaki wasz Lolo lub Edzio nie zechciał do nas na tę posadę zjechać! Bo jakkolwiek nam źle jest, jakkolwiek na literackich i artystycznych togach tu i owdzie plama się czerni, Edziów i Lolów nie mamy. Głównym punktem procesu wytoczonego w dziennikarstwie obecnej reżyserji jest: brak energji i niedbalstwo. Mnóstwo sztuk dawno złożonych dyrekcji czekało daremnie przedstawienia, co przy gorączkowej znowu czynności ogródków tem większy dawało powód do wymówek i nagan. Najjaskrawiej sprawa ta ujawniła się z okoliczności *Emigracji Chłopskiej* Anczyca. Teatr miał ją pierwszy, ale zwlóczył z reprezentacją, póki wreszcie pp. Terenkoczy i Doroszyński nie wystawili jej w ogródku. I do Galicji musiały już dobiedz odgłosy powodzenia tej sztuki. Rzeczywiście przedstawiono ją dwadzieścia kilka razy z rzędu, rzeczywiście wzbudziła w publiczności olbrzymi zapał, rzeczywiście jest napisana z wielkim talentem, ale nie jest to nic nadzwyczajnego. Chcąc zrozumieć dokładnie przyjęcie, jakiego doznaje ten lub ów sceniczny utwór, trzeba znać skalę i naturę gustów publiczności, a nadto warunki reprezentacji. We Lwowie komedja Zalewskiego *Przed ślubem* zrobiła furorę, u nas uznano ją za bardzo mierną. Co do *Emigracji Chłopskiej*, ta zachwyciła widzów nie tyle swoją tendencją lub obrobieniem, ile że tak powiem patrjotycznemi półsłówkami. U was gdzie istnieje swoboda słowa, narodowe hasła dla ogółu spowszechniały i muszą być bardzo silnie wypowiedziane, ażeby zrobiły wielkie wrażenie. U nas co innego. Przy starannem zakneblowaniu ust, przy inkwizytorskiej cenzurze, która zwłaszcza publicznie głoszone myśli i wyrazy oziębia aż do lodowatości, najmniejsza aluzja, najdelikatniejsze drgnienie narodowego uczucia wprawia publiczność w ekstazę. Wtedy zapomina ona zupełnie o wartości utworu po za temi jego przymiotami, sypie mu oklaski i dziękuje entuzjazmem. Jest rzeczą nieulegającą najmniejszej wątpliwości, że gdyby na naszej scenie przedstawiono najnędzniejszą ramotę, w którejby jednak jakiś elektryzujący wyraz, np. o j c z y z n a powtarzał się w każdym akcie, doznałaby trwałego powodzenia. Nie myślę bynajmniej tą hipotezą ubliżać pracy p. Anczyca, która niezależnie od swych patrjotycznych ozdób, jest sztuką ludową bardzo piękną. Że jednak jej sława spłynęła głównie z tego źródła, przekonywa zachowanie się biegłej w tropieniu tych rzeczy cenzury. Dostrzegłszy bowiem sprężyny wywołujące entuzjazm, zaczęła je po przedstawieniach kolejno usuwać, dopóki sztuka nie przestała działać chłodno. Dziś podoba się ona, ale już nie zapala. Bądź co bądź p. Anczyc zrobił bardzo szczęśliwy krok wprowadziwszy swą *Emigrację* do Warszawy, bo pominąwszy zysk materjalny, jakiego mu może wszystkie inne sceny razem wzięte w równej mierze nie przyniosą, ważniejszem jest to, że ściągnął na swe imię silną sympatję i potrącił w duszy słuchaczów o te struny, które w naszych warunkach rzadko bywają dotykane.

Repertuar zapowiada na jesień wiele nowości. Tymczasem jedyną nowością w teatrze jest powrócona aktorom emerytura. Wypadek ten ściągnie nam pewnie jeszcze obfitszą falę... debiutantów. Już to przyznać trzeba, że teatr warszawski jest instytucją mającą bardzo wiele powabów. Pensja wysoka, sława wrzaskliwa, szacunek niezmierny. Wy posiadacie rozmaite instytucje, które rozdzielają uwagę ogółu i nie pozwalają jejześrodkować się nadmiernie na jednej. U nas tylko teatr jest przybytkiem, w którym nasza narodowość występuje publicznie. Ztąd to szczególne zajęcie się niem, ztąd owe przezeń wywołane gwałtowne ruchy opinji, ztąd nieprzeliczone i nieskończone recenzje i rozprawy nad aktorkami i aktorami, które raz pobudzają do śmiechu, a drugi raz do smutnego zastanowienia. Wystawienie nowej sztuki jest u nas szczególną uroczystością, wprawia w ruch świat literacki, daje przedmiot do rozmów i intryg. Gdy przed kilku laty zachorowała jedna z ulubionych artystek, pisma ogłaszały drobiazgowe buletyny, w których np. donoszono, że chora raczyła zjeść udko kurczęcia. O pannie Deryng przed jej przybyciem do Warszawy ledwie kto słyszał, dziś jest ona osobistością lepiej znaną niż warszawski jenerał-gubernator. Królikowski, Żółkowski, Modrzejowska, Popiel, są to znakomitości, na cześć którym więcej wylano krytycznego atramentu, niż na cześć Mickiewicza lub Słowackiego. Tylko balet nie zdołał wznieść się na te wyżyny sławy i ciągle zadowalać się musi laurami zebranemi w tryumfach nad imperatorską armją.

Miasto nasze jest obecnie z dwu przyczyn nieco ożywione. Naprzód przez rossyjskich ochotników jadących tędy do Serbji. Słusznie czy nie-

słusznie manifestują oni swą obecność i niejako cel podróży. Podobno przeciętnie wyjeżdża ich koleją warszawsko-wiedeńską około 60. Czasem niemi pociągi zapchane. Wojna turecko-słowiańska, chociaż daleko mniej nas roznamiętnia niż kiedyś francusko-pruska, jest tu przedmiotem bardzo żwawych rozpraw. Ogólnem ich znamieniem jest bezwyjątkowa w naszej prasie sympatja dla Słowian, a nienawiść dla Turków. Nie jest nikomu tajnem, że Rossja Słowian popiera, gdyż chociażbyśmy nie wiedzieli o tem z gazet, łatwo byłoby się domyśleć z grzecznego polecenia cenzury, ażeby pisma otworzyły przyjmowanie składek, z potrącania urzędnikom na ten cel pewnego procentu z pensji, ze skrzynek zawieszanych przez jenerałów w publicznych miejscach z odezwami polskiemi, wreszcie z licznego roju ciągnących tędy ochotników. Mimo to jednakże, mimo niczem niedającej się ułagodzić odrazy do wszystkiego, co w przymierzu z Rossją występuje, zarówno publiczność jak dzienniki gorąco przemawiają w sprawie Serbów i ich pobratymców. Źródłem tego uczucia jest rozumowanie, krórem każdy się tłumaczy: sympatyzujemy nie z przyjaciołmi Rossji, ale z ludami równie jak my ujarzmionemi; nie mielibyśmy prawa do współczucia, gdybyśmy go innym odmawiali. Kiedy wiecznie zaciekły przeciwko nam *Gołos* oskarżył warszawską prasę o nieprzyjaźń dla walczących za wolność, niektóre dzienniki odpowiedziały mu wzgardliwym protestem. Ani jedno rzeczywiście warszawskie pismo nieprzyjaźni tej nie zdradziło. Były wprawdzie z początku małe wahania, ale te szybko znikły. Dziś żadna w Europie prasa nie głosuje serdeczniej w sprawie uciśnionych. Nie kryjemy przed sobą, że przykra to rzecz harmonizować z Rossją, ale szlachetniejsze uczucia przemagają. Czemuż nam nie wolno przypomnieć jej łaskawego obchodzenia się z powstańcami 1863 r.! Jakby to naszym dobrodziejom smakowało, można obliczyć z następującego dosyć zabawnego zdarzenia, jakie niedawno rozweselało potajemnie Warszawę. Pewien obywatel potrzebował nagle wyjechać za granicę. Udaje się więc do Oberpolicmajstra i prosi o pasport. Jenerał Własów wydaje mu go natychmiast, ale za usłużność domawia się o jakąś pieniężną ofiarę dla Słowian. „Panie jenerale — powiada obywatel ze szczerą czy udaną dobrodusznością — tego zrobić nie mogę. Kiedy powstańcom naszym dałem 100 rs. rząd wysłał mnie na Sybir. Powróciwszy przysiągłem sobie i zakląłem wnuków, ażeby na żadnych powstańców składek nie dawali.“ Podobno biedny Oberpolicmajster zrobił bardzo kwaśną minę i nie znalazł w pogotowiu argumentu, którymby mógł niepotrzebne skrupuły szlachcica usunąć. Nawiasem mówiąc niełaska cara wkrótce pana Własowa od policyjnych obowiązków zwolni. Na stanowisku tem okazał on podobno wielkie niedołęstwo. Policja pod jego zarządem rozprzęgła się i stępiała w czujności. To nawet ściągnęło na niego już dawniej burzę ze szpalt *Gołosu*, z którym polemizując poniósł humorystyczną porażkę. Mianowicie gdy w piśmie tem ukazał się nieprzychylny dla niego artykuł, rozgniewany oberpolicmajster, który czuje w sobie krew literacką i gani pismiennictwo całego świata za oszczędność i nieumiejętność w urywaniu przestankowych kresek, chwycił za papier i wypisał na nim tytuł: *Projekt oficialnawo aprawierżenia statii* (Projekt urzędowego zaprzeczenia artykułu.) Ponieważ jednak tytuł argumentów długo nie zwabiał, autor wezwał jakiegoś krytycznego urzędnika i kazał mu odpowiedź na tym papierze zredagować. Urzędnik szanując święte słowa nadpisu nie zmienił go — Własów zaś tytułu nie dojrzał, posłano więc do redakcji protest jako *Projekt oficialnawo aprawierżenia.* Naturalnie *Gołos* nie mógł nic lepszego zrobić jak nieszczęsny *Projekt* opatrzony urzędową sygnaturą opublikować i dołączyć do niego kpiny, do których mu ten dokument dopomógł. Podobno zmartwiony tym wypadkiem oberpolicmajster złamał na zawsze literackie a zwłasza krytyczne pióro. Podwładni jego utrzymują, że był tak niedołężwy, iż dla spamiętania jakiegoś interesu zawiązywał węzełki na chustce lub kładł kartę do tabakierki. Ale jak zawsze tak i w tym wypadku głos naczalstwa rozchodzi sie z głosem publicznej opinji. Mógł sobie Własów być złym policjantem i urzędnikiem, ale był uczciwym człowiekiem, zwłaszcza porównany z typowemi *diejatielami*. Na działalności jego nie ciąży żadna hańbiąca plama okrucieństwa lub krzywdzenia. Owszem ludność nawet go lubiła. Domniemanym jego następcą ma być dotychczasowy policmajster Buturlin. Nazywają go człowiekiem gładkim i grzecznym. Hulaka, utracjusz, zaszczycony łaskami cesarza, który mu awanturki przebacza, był kiedyś bardzo bogatym. Dziś pobiera tylko 15.000 rubli ze swych majątków, które dla uchronienia zabrano pod urzędową administrację. Czem będzie, gdy na oberpolicmajstrowski tron wstąpi — nie wiadomo. Wiadomo tylko że bachusowi się nie przeniewierzy. Ale w naszej kochanej Imperii tacy właśnie potrzebni, ażeby gust sfer wyższych nie potrzebował się żenować. Bo czyżby inaczej dwór cesarski mógł przez tydzień wypić wina za 12000 rsr ? A taka suma figuruje na obecnym rachunku dostawcy. Nie zazdrośćcie jednak panowie kupcy swemu koledze kokosowego na pozór interesu. Ciężko on wzdycha nad tysiącami rubli, które z tej sumy odpaść muszą na łapówki i kradzieże przy dostawie. Bądź co bądź miło powiedzieć, że w Belwederze wypito wina za 12000 rs. a wyasygnowano na wsparcia 15000. Trzy tysiące rubli przewyżki to coś znaczy, zwłaszcza jeśli do tego dodamy koszta darowanej illuminacji. Przecież niedawno minęły czasy, kiedy miljony rubli musieliśmy płacić za to, że chcieliśmy być tem, czem być chcą popierani przez Rossję Słowianie na bałkańskim półwyspie.

Wczoraj zakończyły się posiedzenia Zjazdu naturalistów rossyjskich. Ponieważ protokoły jeszcze nie ogłoszone, nie wiadomo co uradzono. Prawdopodobnie to, że wszyscy członkowie począwszy od Dra Brodowskiego aż do profesora Nawrockiego wyszli z łona moskiewskiej macierzy. Cały ten kongres, chociaż może przyniesie nam jakiś pożytek, odbył się zupełnie po za kołem publicznej uwagi. Zaledwie ten i ów wspomniał o nim jak o pogłosce lub czemś dopełniającem się na drugiej półkuli. Zjazd taki w Rio de Janeiro nie wzbudziłby mniejszego interesu. Świadomie czy bezwiednie pomagali do tego nasi nadnewscy przyjaciele, dając na każdym kroku poczuć russką naturę aktu. Już w samym wyborze miejsca tkwiła drapieżna dotkliwość. Bo dla czego na zjazd naturalistów rossyjskich wybrano Warszawę? Małoż ma Imperia miast rossyjskich? A może ich nie ma...

P. S Już po napisaniu listu dowiedziałem się o szczegółach Zjazdu naturalistów, które proszą się o przeniesienie na publiczny papier. Przekonywają bowiem, że dużo jeszcze fal przetoczy się w Wołdze i Newie, zanim rurykowa drużyna postrada barbarzyńskie instynkta. Na objedzie kończącym uroczystość zjazdu p. Mendjelejew chcąc okazać bezstronność swej braci po wiwatach dla Czarnejewa et tutti quanti wzniósł toast na cześć Kopernika. Ośmielony tem dr. Natanson odezwał się po polsku. Ale zaledwie wymówił kilka wyrazów, gdy naraz pijani cywilizatorowie zaczęli wrzeszczeć: *pa russki pa russki!* Wrzawa zagłuszyła zupełnie mówiącego. Na drugi dzień cywilizowani goście udali się na posiedzenie Towarzystwa Lekarskiego. Rozumie się instytucja ta odbywa swe narady w języku polskim, i ma na to pozwolenie. Ponieważ zaś wizyta panów moskiewskich naturalistów nie była wcale przez towarzystwo obstalowana, więc dr. Szokalski zaczął mówić po polsku. Zgorszeni tem grzeczni goście porwali za kapelusze i wyszli. Oto macie próbkę cywilizacji, taktu i ludzkiej natury tych panów. Wskutek tych i tym podobnych awantur cały Zjazd był jednym wielkim skandalem. Oprócz profesorów uniwersytetu zmuszonych do udziału, żaden więcej Polak do obrad nie należał. Prasa nasza z jednej strony wywdzięczając się za niepozwolenie pisania o Zjeździe przyrodników we Lwowie a z drugiej usuwając się od solidarności z wypadkiem gorszącym, zachowuje o nim zupełne milczenie. I oni mówią o pojednaniu! Dziś bardziej niż kiedykolwiek przekonywamy się, że z Rossją tylko walka. Żadne w świecie ustępstwa, nic nie przebłaga jej drapieżności...

POGADANKI.

VII.

Pogoda, ale jaka pogoda! Niebo bez chmurki, od południa wieje wiatr ciepły, a chociaż słońce uśmiecha się nieco żałośnie, jak piękna kobieta stojąca u kresu marzeń, nadziei i życia — w całej naturze czuć jednak wesele. Nawet liść gęsto z drzew opadający nie przeraża nas jeszcze, tak piękne tegoroczne „babskie“ lato.

Dla czego babskie? Czemu te ostatnie ciepłe dni jesienne ochrzczono nazwą, którą w gniewie zwykliśmy dawać podeszłym i niemiłym jednostkom słabszej naszej połowy? Co do mnie, lato dzisiejsze chciałbym raczej nazwać panieńskiem, i wierzcie mi piękne Czytelniczki, gdyby wszystkie panienki były tak miłe jak ono, mniej mielibyśmy dziś starych panien, i mniej starych kawalerów.

Co do tych drugich, to namnożyło się ich trochę za wiele, zwłaszcza w Krakowie, który z tego powodu wygląda cały jak stary kawaler. Ma on swoje nawyknienia, swoją pedogrę i swój szlafrok wygodny, a że nie brak mu także pretensyj do świata, więc ilekroć usłyszy że młodzi hałasują, irytuje się i zrzędzi, przyczem wzdycha do lepszych czasów dawniejszych.

Przedewszystkiem irytuje go Lwów, w którego żyłach płynie krew młodsza a więc goręcsza i ilekroć może objawia swoje niezadowolenie, że ten Lwów śmie mu psuć sen i odbierać apetyt. Gdy niedawno temu, w krakowskiej radzie miejskiej zastanawiano się nad pytaniem, ażali słuszną jest rzeczą, by miasto dało kilkaset guldenów na przyszłoroczną wystawę lwowską, znalazł się jakiś p. A. S. którego przez skromność nawet sam *Czas* nie wymienił, i nie wahał się oświadczyć, że Kraków nie powinien dać ani grosza, ponieważ wystawa lwowska nie obchodzi obywateli podwawelskich. Wprawdzie rada nie usłuchała głosu

pana rajcy i dała 500 guldenów, lecz już sam fakt, że znalazł się mąż, który wystąpił przeciwko wystawie lwowskiej, świadczy o wielkiej antypatji, jaką czują ku nam niektórzy mieszkańcy grodu krakusowego.

Wyrozumiały na ludzkie słabości, pewnie bym się nie zadziwił, gdyby nagle doniosły nam dzienniki, że Kraków uznał się za państwo odrębne nie mające ze Lwowem żadnej łączności. Bo pytam się, dla czego i u nas nie miały by zapanować stosunki, które ongi istniały we Włoszech. Przed wiekami, każde miasto włoskie uważało się za państwo odrębne, i np. taki Florentczyk byłby wolał zginąć, aniżeli przyznać się do jednoplemienności z sienczykiem albo pizańczykiem. W owych czasach błogosławionych, do których p. A. S. widocznie wzdycha, zdarzyło się nawet raz, że mieszkańcy Florencji zabrali jakąś kadź swoim sąsiadom z Pizy. Oburzeni pizańczycy uzbroili lud, a wpadłszy do Florencji o mało całego miasta nie zburzyli, i zuchwale targnęli się nawet na kolumny porfirowe stojące obok chrzcielnicy na placu katedralnym. Jakby to pięknie wyglądało, gdyby tak pewnego poranku pojawił się u bram lwiego grodu, p. A S. na czele zbrojnych Krakowian, i domagał się od nas wydania — czego? Naprzykład c. k. Namiestnictwa, z którem mieszkańcom Krakowa byłoby bardzo do twarzy, bo tylko to miasto nazywa się stolicą, które ma u siebie najwyższy rząd krajowy... Ale my, stojąc twardo na ojców kości i wierni świetnej tradycji, nie dali byśmy dobrowolnie ani c. k. Namiestnictwa, ani c. k. *Gazety lwowskiej*, skutkiem czego przyszłoby do bójki, jak przed wiekami na dolinie Arna...

Nie wiem czy komu zbiera się na śmiech, gdy patrzy na separatystyczne kierunki narodu podwawelskiego, lecz co do mnie przyznam się otwarcie, że mnie one do gorzkich łez pobudzają. Za mało rozbijali nas obcy, więc dobrowolnie sami się rozbijamy.... wszelako gdyby mi kto postawił dwie ostateczności: albo uznać proroków krakowskich za swoich, lub też patrzeć na oderwanie się Krakowa od Lwowa, bez wahania oświadczyłbym się za prorokami. Z nimi dałbym sobie może radę, a wielkiej rany narodowej nie umiał bym zabliźnić...

* * *

W teatrze lwowskim mieliśmy znowu nowość, którą był *Szpieg królewski*, utwór tłumaczony z francuskiego, a przeznaczony dla niedzielnej publiczności. Na próżno szukalibyśmy w tym dramacie misternej budowy i wielkich prawd psychicznych; całość jest bardzo mierna, nie jedna struna jest nadto przeciągnięta, nieprawdopodobieństw nie brak każdemu aktowi, lecz mimo tych wad pojawienie się tej sztuki witamy sympatycznie, bo szczera miłość ojczyzny wieje z każdej sceny, prawie z każdego słowa. Dla publiczności niedzielnej, którą teatr kształcić powinien *Szpieg królewski* jest bardzo cennem widowiskiem, zwłaszcza w czasach jak dzisiejsze, gdy ogólna apatja odrywa umysły od wszystkiego co gorętsze i patrjotyczne. Teatr był literalnie nabity od dołu do góry; ostatni widzowie dotykali głowami sufitu. Aby teatr był pełnym w niedzielę, nie potrzeba więc ani *Pięknej Heleny* ani *Pericoli*, bo i dramat gorętszy także zwabi publiczność.

Komedja i dramat, chociaż do tej chwili panny Deryng nikt nie zastąpił, trzymają się nie źle i są ciągle polskie — ale co do opery, to dalipan nie wiem jak ją teraz nazywać. Niegdyś mieliśmy samych polskich spiewaków i spiewaczki, i tylko czasem zawitał do nas jaki ptak zagraniczny — dziś mamy samych cudzoziemców spiewających po włosku, a z artystów polskich zostali tylko pp. Zakrzewski i Koncewicz, z pań zaś pp. Weic i Schirer. Przepraszam, zostały jeszcze chóry. Obie primadonny, bas, baryton i drugi tenor, a więc osoby, na których spoczywa główny ciężar każdej opery — nie spiewają po polsku. Czy w obec tak zmienionych stosunków, nie byłoby lepiej wyuczyć i resztę po włosku, aby nie było mięszaniny? Teraźniejsza opera przypomina mi pewnego jegomości, który ubrawszy się po francusku, opasał się potem pasem litym i uporczywie twierdził, że ubrał się po „polsku". Tymczasem on wyglądał po cudacku, albo jak w Galicji mówią: z kiepska po węgiersku. Tak samo wygląda teraz opera lwowska, która oficjalnie ciągle jeszcze polską się nazywa.

Mówiąc o teatrze, śmiem zapytać szanowną dyrekcję, co też dzieje się z projektowanym konkursem imienia Al. Fredry? Wszak jest już kilkaset guldenów na ten cel zebranych, więc możeby się godziło trochę poagitować i kwotę uzupełnić, aby konkurs jak najprędzej wszedł w życie, bo ponos tylko ser odkładany ma być dobry...

* * *

W chwili kiedy zamykamy pogadankę, dochodzi nas wiadomość o śmierci śp. Augusta Bielowskiego. Niepospolity poeta za młodu, niezmordowany badacz dziejów ojczystych przez większość swego żywota, autor dzieła pomnikowego *Monumenta Poloniae historica*, zgasł nagle, nie doczekawszy się nawet wydania trzeciego tomu tej pracy olbrzymiej.

Nie czas dziś, ani miejsce po temu, aby obszerniej ocenić zasługi zmarłego. Nad świeżą mogiłą możemy ledwie gorżką łzę uronić, bo śmierć zabrała nam jednego z największych uczonych i najgorętszych patrjotów.

Spij snem spokojnym, i oby z Twoich popiołów powstali nowi szermierze, jak Ty zacni, jak Ty dzielni!

Józef Rogosz.

O potrzebie rozwoju przemysłu małego czyli drobnego w Galicji

napisał

Jan Nep. z Oleksowa Gniewosz.

Część I. Góry.

Nie ulega wątpliwości, że im więcej jest rozgałęziony tak nazwany przemysł mały czyli drobny, domowy, pomiędzy większością narodu, którą w potocznym języku nazywamy ludem, tem silniej opiera się ten lud szerzeniu nędzy nietylko materjalnej, lecz i moralnej. Jest pewnikiem niezaprzeczonym, że tylko ten kraj nazwać można bogatym, w którym przemysł mały jest najsilniej zastąpiony. Przemysł domowy zresztą jest niezaprzeczenie najgłówniejszą podstawą bogactwa i trwałego bytu rozwoju przemysłu wielkiego, fabrycznego. Gdzie przemysł domowy w warstwach ludowych uzyskał powszechne i stałe obywatelstwo, tam wszelkie przedsiębiorstwa przemysłu wielkiego, fabrycznego, oparte są na granitowych podstawach; tam kapitał zakładowy, nietylko że się w cyfrach zniża, lecz z otuchą patrzy przemysłowiec w przyszłość, jeżeli tuż pod bokiem ma dostateczną ilość rąk oswojonych z pracą w małym przemyśle, a tem samem łatwych do pojęcia i przyjęcia pracy zbiorowej.

Przeciwnie, najszczersze chęci i wielkie kapitały, a nawet gruntowna znajomość rzeczy nie dają nam odpowiedniej rękojmi wzbogacenia kraju na drodze przemysłu wielkiego, fabrycznego, jeżeli ogół narodu nie jest w przygotowawczej szkole przemysłu domowego usposobiony i obyty.

Jeżeli zajrzymy w dzieje naszej przeszłości, te nas przekonają i dadzą świadectwo, że naród polski, który nieprzyjaciele nasi nazywają barbarzyńskim i gniazdem ciemnoty, nie stał bynajmniej w drugim szeregu na polu przemysłu i handlu w obec najucywilizowańszych narodów w Europie. Przeciwko zarzutom tym wolno nam się zastrzedz z zupełną śmiałością, bo przemysł wieków przeszłych na ziemi polskiej, dotrzymywał równego kroku w postępie cywilizacji, czego jeszcze dziś mamy dobitne i niezaprzeczone ślady.

Wtenczas dopiero, gdy nas rozdarto na szmaty, — gdy Polska przestała być przedmurzem Europy, — gdy ją zalały obce żywioły, gdy z prawa natury cała myśl skierowaną została do jednego najbliższego celu: długoletniej walki oręża; — gdy siły zaborcze użyły wszelkich środków, aby nas moralnie i materjalnie ubezwładnić, wówczas to zszeregowane zastępy pracy przemysłowej rozprzęgły się — rozproszyły — zeszły na maroderów w ogólnym postępie cywilizacji, lub też zupełnie zginęły. Bo gdy w przeszłości, siedzibą niemal każdego przemysłu były miasta i dopiero potrzeba czasu zaczęła takowy rozlewać po za ich mury po wsiach i siołach, u nas właśnie wtenczas rozpoczęła się krwawa walka, aby bratni łańcuch narodowy rozerwany na sztuki, skuć znowu ogniwami w jedną całość.

W tym to okresie przemysł polski zstąpił do grobu i dopiero wtedy inne narody mogły nas wyprzedzić.

Już z początkiem bieżącego wieku widzimy w każdym ustępie, wolnym od walki orężnej, usiłowania ludzi światłych i silnej woli, aby podnieść na nowo przemysł do odpowiedniej wysokości. Widzimy tytaniczne stosunkowo wysilenia — ofiary cyfr miljonowych, które prawdopodobnie umiejętnie użyte, powinne były zrodzić owoc obfity i dojrzały. Niestety! szlachetne te usiłowania, oparte na miłości kraju i ludzkości, chociaż zaopatrzone w zasoby wiedzy, runąć musiały za każdym razem jako gmach, który w prawdzie z wiedzą zbudowany, ale o słabych fundamentach. Bo chociaż budowniczy tego gmachu mistrzem był w swoim zawodzie, lecz albo nie miał pod ręką tysięcy rąk uzdolnionych, któreby plan jego wykonały, albo też ręce te rekrutował z obcych żywiołów, które widząc, że nie mogą być tak łatwo zastąpione, gdy ich nic innego prócz osobistego zysku nie wiązało, naładowawszy kieszeń i zaszczepiwszy gangrenę demoralizacji, opuszczały kraj roznosząc po świecie legendy o naszej niezdolności.

Nie dziw więc, że usiłowania takich mężów jak: Staszyc, Prot Potocki, Piotr Steinkeler, — a w naszej epoce Andrzej Zamojski, musiały się rozbić jak o tarpejską skałę; nie stało się to z przyczyny braku materjalnych środków, lecz z braku rozwoju małego, krajowego przemysłu, który był, jest i będzie podstawą przemysłu wielkiego, fabrycznego.

Jeżeli potrafimy i mamy silną wolę zaszczepić i rozpowszechnić przemysł mały, domowy, po-

między masami ludu naszego, w tenczas dopiero z otuchą patrzeć możemy w przyszłość dobrobytu kraju.

Umiejętne zużytkowanie materjałów surowych we własnych granicach każdej miejscowości, staje się nietylko silną dźwignią, ale i tarczą w biedzie materjalnej; ujmujemy trosk i zachodu, oraz bezkorzystnych wydatków tym, którzy trzymają w ręku trudny ster kraju.

Gdyby tylko chociaż połowa zużytą została z tych sum pieniężnych, które się liczą na krocie, miljony, aby zażegnać nie omal każdoroczną katastrofę, pochodzącą z przednowku, ognia, wody nieurodzaju i chorób epidemicznych, — niezawodnie część tych sum umiejętnie użyta przyniosłaby korzyści większej doniosłości, aniżeli w rzeczy samej tak znaczne kapitały, które giną bezpowrotnie jak kropla w morzu. Ponieważ po największej części, gdybyśmy krok za krokiem postępowali za temi atomami rozdzielonej zapomogi, znaleźlibyśmy takową na końcu skoncentrowaną w wertheimowskich kasach po za granicami kraju.

Twierdzenie to można by uzasadnić najoczywistszemi dowodami, lecz zakres niniejszej rozprawy za mało na to pozostawia miejsca. Moją dążnością jest jedynie mówić o spostrzeżeniach, jakie się przed moje oczy i myśli nasuwały podczas wieloletnich wędrówek po kraju.

Zanim jednakże do spostrzeżeń tych przystąpię, potrącić muszę nietylko o nieoględne, niewyrozumowane, ale w ogóle na niczem nieoparte i najfałszywsze zdanie, które dziś jeszcze słyszeć nam się zdarza *„że naród nasz jest ściśle rolniczy, że nie ma czasu i nie może być przemysłowym“*. Zdanie to nie wytrzymuje żadnej krytyki, chociaż się rodzi w głowach pewnych ludzi, którzy choć się kuszą o przydomek inteligencji, służą jednak tylko za parawan rozwielmożnionej gnuśności ducha i ciała.

Byle tylko nic nie robić, wieść żywot pasożytów, cuchnąć gnuśnością, jak zarazą, i lubować się w tem nicestwie — wylatują z ust takich delfickich wyroczni frazesa, które są oczywiście nader dogodne dla uspokojenia słabego ducha.

Tymczasem w machinie świata nadał Bóg prawo natury, które się nie da niczem obejść, ani też zastąpić, a tem prawem jest wszechwładna równowaga. Zresztą w każdej chwili i na każdym kroku mamy tego dowody. Czytając w naturze karty tego prawa, dziecko nawet rozezna, że rolnictwo i przemysł są tak ściśle z sobą spokrewnione, jak z jednych rodziców brat i siostra.

Tylko ten kraj może się nazwać rzeczywiście bogatym i pod wielu względami szczęśliwym, w którym rolnictwo i przemysł równym postępują krokiem. Dalej widzimy, że w krajach ściśle rolniczych nietylko nie znajdujemy dobrobytu, ale cywilizacja powszechna i postęp stoją na tak niskim stopniu, że w porównaniu przedstawiają się jak dziecię do dorosłego męża.

Narody ściśle rolnicze mogą przedstawiać sielankowe ideały dla poetów i artystów, ale wzięte z duchownej i realnej strony, odkrywają prawdę smutnego zastoju. Jeżeli rzecz badać zechcemy dalej, nabędziemy znów przekonania, że kraj, w którym przemysł nawet przeważa, a rolnictwo jest tylko dodatkowem, w wypadkach gwałtownych klęsk prędzej sobie radzi i chroni się od zagłady, aniżeli naród przeważnie rolniczy.

Kilka, a często jeden rok nieurodzaju, pozostawia po sobie ślady, które przez dziesiątki lat zatrzeć się nie dadzą. Duch przemysłowy korzysta szybko z danych, jakie ma pod ręką; ręce przerabiają bez względu na porę roku materjał surowy na twory, które znajdą zbyt w ościennych krajach niedotkniętych miejscową plagą i w tem to źródle znajduje rolnik kapitał chroniący go od upadku i nędzy.

Prawdą jest, że lud nasz przeważnie rolniczy, ale też prawdą i to, że z powodów klimatycznych jedną trzecię czasu, a prawie w połowie co do liczby dni zostaje bez zatrudnienia; mimowoli oddaje się gnuśności a następstwem jej jest demoralizacja. Kto zwidzał i zwidza kraj w porze letniej i zimowej, musiał nabyć przekonania, że latem oprócz wypadków okolicznościowych, jak wesela, pogrzeby, sprawy sądowe i jarmarki, spotyka tylko po karczmach pijaków i leniwców z profesji; gdy natomiast ogół jest zatrudniony około roli i innych robót. A chociaż i pomiędzy tymi jest większa liczba takich, któraby wolała wygrzewać się na słońcu i nic nie robić, to jednak żołądek, ów tyran człowieczeństwa, na to nie pozwala. Zresztą jaki taki promyk wrodzonej każdemu ambicji pcha mimowoli nawet leniwca do pracy, aby go inni ludzie palcami nie wytykali.

Latem nakoniec najtrudniejsza wymówka: „Nie mam i nie mogę znaleść zarobku“, nawet żebranina wtedy się nie wiedzie, bo nikt nie poda jałmużny bez wyrzutu, jeżeli widzi zdrowie i siłę. Tak więc tylko zgangrenowanych moralnie napotykamy latem w bezrobociu. Zupełnie odwrotna strona medalu przedstawia nam się, gdy już nastają dłuższe wieczory, a słońce później wschodzi, gdy nadejdą dni słotne a nareszcie zima. Praca około roli zredukowana do minimum; tak samo około gospodarstwa domowego; — ograniczona na krótkie dni zużywa tylko siły dorosłej, skończonej jak n. p. do młócki i rąbania drzewa w lesie; resztę zaś zatrudnień i zarobków zimowych możnaby na palcach policzyć.

Cóż więc ten lud robi? Oto jak się zmierzchnie a umie się pokusom arendarza oprzeć, zjada wieczerzę i kładzie się spać. Zaledwie kobieta tu i owdzie przędzie kądziel lub drze pierze. Są wprawdzie i wyjątki, ale w stosunku do ogółu tak homeopatyczne, że ani marzyć o tem, by je podciągnąć pod rubrykę szeregowanego postępu przemysłowej pracy. W karczmach za to znajdujemy zimą prawie bez wyjątku znowu inne życie. To żniwo dla trucicieli gorzałczanych; taki arendarz mając czas po temu, policzył każdy snopek zwieziony do stodoły, każdy korzec ziemniaków, każdą garść lnu i konopi, każde cielę, co uszło rąk rzeźnika, każdą kurę i gęś. Zna stan czynny i bierny każdego klienta i mieszkańca w ogóle. Każdy taki arendarz jest w swoim rodzaju artystą pierwszorzędnym i psychologiem nie lada. Zna najmniejsze słabostki każdej osobistości we wsi lub miasteczku, bo zbierał materjały statystyczne i pracował nad takiem udoskonaleniem się z mrówczą skrzętnością. Ma on nawet swoich sprzymierzeńców, reporterów i ajentów, którzy żadnej sposobności nie opuszczą, aby wiedzę arendarza wzbogacić i nowych klientów sprowadzić. Za to zyskuje się u arendarza szczególne przywileje i często gęsto kapnie coś darmo do gardła.

Bezrobocie zimowe i długie wieczory pchają i ciągną mimowoli bezczynny lud do wszelkich odcieni demoralizacji i szerzą co raz gwałtowniejszą gangrenę. Z początku działają nudy, — następnie nawyknienie, bezmyślność, później występek, zbrodnia pojedyncza — zbiorowa, a w końcu upadek całego kraju. Rozwodzić się nad szczegółami i anatomicznie rozbierać wszystkich następstw nie będę, bo to już zbyt utarte komunały i powszechnie znane. (C. d. n.)

Z wycieczki artystycznej

przez

F. K. Martynowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Zaledwo ci jednak przyjdzie zboczyć od środka pomnika, zostaniesz niemile draśnięty disharmonją linji niżowych skrzydeł monumentu. Nie mówiąc już o ich krawędziach niesmacznych, sama podstawa grzeszy wystąpieniem z poziomu linji głównej sceny, przez co owe niże wyglądają jakby przylepki niemające logicznego związku z całością dzieła. Dalej wycięcie frontonowego szczytu zdaje się domawiać chaosu w ornamentacyjnych linjach skrzydeł tego monumentu. Artysta chciał tu widocznie kondygnacyjne ustępy zbyt ostre połączyć w całość konstrukcyjną dzieła; nie udało mu się to przecież, albowiem one kamienne grymasy pozbawione są ducha, któryby je w jedno estetyczne ognisko połączył. To też cieniowanie lekkości objawia się wyłącznie prawie przez przyczepianie esowatych kształtów, a części architektoniczne pomnika nie wiążą się z sobą w jedno harmonijne ciało. Przymiot to niezbędny w działach, co mają odpowiadać wszelkim warunkom piękna. Nadmieniwszy jeszcze o rzeźbionej scenie, wcale udatnych kształtów, wyobrażającej Zmartwychwstanie Pańskie, a umieszczonej w środkowem polu ostatniej kondygnacji, otrzymujemy tym sposobem ogólny charakter Januszowego pomnika, który pomimo, że posiada w sobie wiele wad artystycznych, zawsze jest pięknym zabytkiem sztuki polskiej XVII stulecia. Ma się rozumieć, że piękno jego uznajemy tylko względnie do zasad barroka. Nie odpowiada ono warunkom idealnej piękności, zawsze jednak jest wiernem odbiciem ducha czasu i tej epoki w sztuce, w której Bernini zapanował prawie wyłącznie. Jeżeli więc kościół św. Piotra w Rzymie szczyci się bronzowym baldachimem tego mistrza, to my tembardziej możemy nawet z pewną dumą wskazać na pomnik Ostrogskich w Tarnowie, co stanął przed nami jako wierne odbicie kierunków artystycznej linji z XVII stulecia. Mistrz Pfister jest dobrym synem tamtej epoki.

Wychodząc z tego przybytku Pańskiego, nie podobna pominąć przepysznego zabytku, jaki nam średniowieczna przeszłość w spuściźnie po sobie zostawiła. Są to radzieckie stale, umieszczone w części chórowej świątyni, o których z całą przyjemnością powiedzieć musimy, że stanowią jeden z najprzedniejszych polskich okazów tego rodzaju ostrołukowych kreacyj. A jeśli chodzi o bogactwo i harmonję linij, to bez zaprzeczenia ten zabytek wyżej stoi od stale renesansowych kościoła P. Marji w Krakowie. Miasto Tarnów, które taki ładny ratusz dźwignęło, potrzebowało odpowiednio wystąpić i z radzieckiemi stalami w parafialnej świątyni. Jakoż przyznać należy, że stale Tarnowa zabłysły całym potokiem artystycznych linij i wielkim zasobem ostrołukowej fantazji.

Dwanaście ich siedzeń jakby foteli urządzono tak, iż sześć z nich znajduje się w środku stal, a drugie sześć na zewnętrznej stronie przodu. Zdawać się może, iż gotyk nie nadaje się tyle do sprzętów domowego i utylitarnego

przeznaczenia, co zasady renesansu, mającego w sobie bez porównania więcej linij poziomych; tymczasem i on bywał wybornie stosowanym w tym kierunku. Tarnowskie stale najlepiej to potwierdzają; tam bowiem pomimo małej objętości owego sprzętu, fantazja ostrołukowa rozwinęła się w całym blasku powabów i estetycznych kształtów. Więc poręcze i boki rozkwitły w tysiące harmonijnych dziergań i zwojów, które chociaż zrodziły się w ostrołukowym duchu, nie straciły przecież idealnej miękkości kształtów. A ściany znowu tylne owych stal, podzieliwszy się na sześć prostokątnych pól przez lekkie nader pilastrowanie, obsypały się potokiem lekkich linij kombinowanych koronkowo, lub zabłysły zwojami przecudnych arabesek, na które patrząc, nie możesz się nasycić ich lubym i roskosznym wdziękiem. Więc liście winogradu, kwiaty i na wpół rozchylone pączki splotłszy się razem w potoczyste kształty, oddychają całą werwą estetycznego życia, a przezroczej szaty baldachimu, co zwisł nad stalami, zdaje się dośpiewywać melodyjnej pieśni, która przez lekkie linje naszego zabytku w krainy piękna ulata. Widać, że gotyk był panem samodzielnym, potężnym w dziedzinie sztuki, skoro takim wdziękiem mógł wszędzie zajaśnieć.

Lecz ta lekkość i wdzięk tarnowskich ław radzieckich jest dla nas tem droższem zjawiskiem, że ów zabytek pono powstaje w końcu XV stulecia. Wiedząc, że ostrołuk wtedy uchyla dumnego czoła przed pojawiającym się renesansem, że linja jego z tego okresu jest nieśmiała, manieryzująca się w niekonsekwentne kształty, tem więcej musimy podziwiać jego potęgę młodzieńczego życia w nasze stale przelaną. Porównawszy np. takie rzeźbienia z kaplicy Ogrojcowej w Krakowie albo nawet grobowiec Kazimierza Jagiellończyka, owo wielkie dzieło Stwosza, z rzeźbami stal tarnowskich spostrzegamy, że w ostatnich śmiałość i lekkość linji, oraz wdzięk młodzieńczy bez porównania silniej się objawił, podczas gdy pierwsze dzieła obejmują w sobie wiele nader pierwiastków schyłkowego gotycyzmu.

Tak się prezentuje Tarnów w dziedzinie średniowiecznej i renesansowej sztuki; nie duże to miasto, a przecież przyszło mu świetnie w zakresie sztuki wystąpić. Czy my zostawimy po sobie tego rodzaju zabytki? Przyszłość to najlepiej pokaże, choć ze zjawisk, na jakie patrzymy, nie trudno i dziś niekorzystny horoskop postawić... Utylitaryzmowi naszemu trudno się będzie przedstawić przyszłym pokoleniom w artystycznych szatach. Nie do nas jednak należy wyciąganie w tym względzie wniosków na dalszą przyszłość, więc zapraszam cię łaskawy czytelniku na kilkomilową przechadzkę po nad rzekę, co jej Biała imię chrzestne nadały mgłą niepamięci owiane stulecia. A doprawdy miła to i urocza przechadzka. Jeszcześ się nie pożegnał z wieżycami Tarnowa, jeszcze się roją po głowie przedziwne kształty zabytków sztuki tarnowskiego kościoła, a już czujesz całą siłę podgórskiego powietrza. Przepyszna i malownicza dolina, którą gród Tarnowskich na siedzibę wybrał, powoli zaczyna znikać pod falistemi wzgórzami. Ba, zaledwo miniesz Tarnowiec, o którym ci woźnica cuda będzie opowiadał, nad którego lasem wiele heroiczno-rozbójniczych legend unosi się w powietrzu i w ustach ludu rozbrzmiewa, a już owe pagórki rysując się wyraźnie i w ostrych fantastycznych kształtach, stanęły dwoma przeciągłemi szeregami, i wijąc się po linji falistej w przeróżnych kierunkach, zdaje ci się, że pobiegły w posuwiste polonesowe szlaki, wśród których modre fale Białej rej wiodą... Okolica ta pełna świeżości i życia; więc malownicze obrazy co chwila ci się zmieniają przed oczyma, jak gdyby chciały bogactwem uroczych zjawisk w wyobraźni twej wyryć niezatarte piętno albo serce twoje pozyskać dla siebie. I tak, posuwając się coraz to wyżej hen w stronę Grybowa i Sącza, spotykasz na każdym kroku przecudnej perspektywy obrazy, które w miarę zbliżania się do granicy węgierskiej rosną ustawicznie. Liczne zaś i umajone ogrodami wioski, co się rozsiadły na pochyłościach wzgórz, potęgują życiowy charakter tej cudnej okolicy. Widno, że tam całą piersią oddychać możesz, kiedy Biała, Poprad i Dunajec takie gwałtowne wyprawiają harce w stronie Grybowa, Piwnicznej i Sącza. Swawolą te rzeki w pośród gór czarownych z całą fantazją dziecięcych igraszek, zanim je Wisła w bratnie uściski obejmie!

To też kiedy ci przyjdzie w tak powabnem otoczeniu spotkać się z pomnikiem sztuki więcej niż miernej wartości, radbyś go zburzył na cześć wyłącznego panowania fantastycznych zjawisk przyrody. Nie innego wrażenia doznasz, skoro staniesz przed klasztorem i kościołem Benedyktynów w Tuchowie. Fundacja ta zdaje się późną, a jej zabudowania nie budzą żadnego interesu zwłaszcza pod względem artystycznych przymiotów. Widzisz wprawdzie kościół renesansowych znamion, ale charakter jego architektury, gzymsowanie, pilastry i kopuła nie przedstawiają ci zgoła iście artystycznego wątku. Lepiej przeto podążmy na inne miejskie wzgórze, będące niejako przedłużeniem czworograniastego rynku, co go cztery połacie podsieniowych domów obiegają, a tam ujrzymy dużą świątynię parafialną, która już zdala bieleje na zielonem tle miejskich ogrodów i bliskiego podgórza. Wprawdzie i ta budowa nie zaspokaja w zupełności artystycznych wymagań, lecz zawsze stoi o wiele wyżej od poprzedniej, a jej znamiona architektoniczne zdradzają dosyć udatne dążenia do wywołania uczuć piękna. Świątynia ta rokkokowego charakteru, wzniesiona na podstawie prostokąta stanowiącego nawę główną, posiada prezbiterjum zakończone półkolistym kształtem, ściany zaś jej zewnętrzne i fasada przybrały się dosyć lekkiem pilastrowaniem i wdzięcznemi gzymsami. Nie trudno też zaraz na pierwszy rzut oka odgadnąć w niej budowę z końca XVII, a bodaj czy nie z XVIII stulecia, która pomimo, iż nie wiele czasu liczy swojego istnienia, przecież w murach nawy głównej porysowała się nader niebezpiecznie. Zawsze z pewnego rodzaju obojętnością artystyczną wchodzimy do świątyń z ostatnich dwóch stuleci; powszechny upadek sztuki i manieryzm tej epoki rzadko kiedy przedstawiają utwór podnioślejszego znaczenia. To też nie znalazłszy wewnątrz tuchowskiej świątyni ani jednego prawdziwie artystycznego szczegółu, nie doznajemy rozczarowania w tym względzie. Zapytasz niezawodnie czytelniku o jej ołtarze? Ot, te, jak zwykle po małych miasteczkach i wioskach rozwinęły w sobie cały zasób manier i grymasów artystycznych. Ale bo gdzież ich nie znaleść, choć sztuka XVIII wieku tak się rozwielmożniła, że i w najmniejszym kościółku wycisnęła swoje niesmaczne piętno... Spojrz np. na boczkowe sklepienie z profilowanemi gurtami (pasy sklepienne), jakżeż to tam cudaczne malowidła rozpłynęły się po powierzchniach tynku. Patrz, wiek XVIII nienawidził gotyku, a mimo to, swojej kreacji sklepienie umalował w groteski i linje ostrołukowe. Jakżeż to disharmonijnie wygląda; dwie zasady sztuki wręcz przeciwne sobie duchem, kłucą się tam ustawicznie, a niezgoda owa i w malowanie naw samych przesiąkła. Ale to już nie jest winą czasu, lecz malarza, który niemając widocznie wyobrażenia o zasadach sztuki, niefortunnym pędzlem nasz kościół przybierał.

(C. d. n)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Nauka o ludach (Etnologia) Oskara Peschla, a przełożona z niemieckiego i pomnożona przez prof. dra. T. Wisłockiego. Warszawa — 1876.

Spółka księgarzy warszawskich, zawiązana w celu przyswojenia literaturze naszej arcydzieł obcych, dobrze wywiązuje się ze swego zadania. Oskar Peschel, zmarły przed rokiem, był geografem z powołania. Idąc śladem Rittera, na podstawie naukowych wyników Humboldta, położył sobie za zadanie zbadanie wpływu ziemi i geograficznego położenia kraju na człowieka i jego rozwój tak umysłowy jak społeczny i państwowy. Dzieło powyższe wyszło pierwszy raz w r. 1874 pt. „Völkerkunde“ i miało stanowić wstęp do obszernej politycznej geografji, którą Peschel wspólnie z byłym pruskim ministrem wojny v. Roon wydać zamierzał. Etnologja przez całą prasę została jak najprzychylniej przyjętą, i w krótkim tym czasie doczekała się trzech wydań.

— Ksawery Liske. Cudzoziemcy w Polsce. We Lwowie — 1876.

Literatura nasza historyczna została wzbogaconą wydaniem pamiętników przez cudzoziemców o Polsce w różnych czasach pisanych. Takie pamiętniki stanowią bardzo cenny materjał do dziejów obyczajów i kultury. Obchodzą one w równej mierze historyka, poetę, powieściopisarza itd. W powyższem dziele podał nam autor Niemców, którzy zwidzili Polskę i spostrzeżenia swoje spisali. Tak mamy tu pamiętnik Liborjusza Nakera z r. 1497, Ulryka Werduma z lat 1670—1672, Jana Bernoulli z r. 1778, Jana Eryka Biestera, Józefa Kauscha z r. 1791. Do każdego z tych pamiętników dodany jest życiorys tych turystów, napisany przez autora ze skrupulatnością naukową. Po Niemcach obiecuje autor ogłosić podobne opisy Anglików, Francuzów i Włochów. Książka ta zasługuje na zainteresowanie się nią najszerszych kół czytającej publiczności.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Listy z kraju.

Krynica d. 30 Września 1876.

Gdybym się nie obawiał, że samem wspomnieniem Krynicy zranię nie jedno serduszko nadobnych czytelniczek, zacząłbym od miłości korespondencję niniejszą. Ale któż to wie, żołnierz strzela, Pan Bóg kule nosi! Jam gotów najniewinniej snuć sielanki miłości na temat dajmy na to hrabiego Michasia, co kilkakrotnie na stołach, ławach i słupach krynickich parków wypisał wiekopomne słowa:

„Miłość i arszenik, są to dwie przykrości,
Jedna truje serce, a druga wnętrzności!“

które wszystkie wędrowne ptaki tutejsze powtarzały, mógłbym powiadam najniewinniej na taką nutę zaśpiewać, a tu ni ztąd ni zowąd niejedna z naszych czytelniczek dostaje spazmów, mdłości i bicia serca! Rozważywszy więc niebezpieczeństwo, jakieby ztąd wyniknąć mogło dla ciotek, panien i młodych wdówek, którym niedopisały tegoroczne łowy w Krynicy — kieruję me pióro do interesu. Bo i cóż nad interes? Ciocia X. najlepiej tego dowiodła. Wymknął jej się już prawie złowiony pan Y. dalejże więc zastawiać sieci na inne ryby i... po nieudałych kilku jeszcze próbach, złowiła sobie pana Z. Ciocia X. i pan Z. byli w Krynicy oboje bardzo, ale to bardzo bogaci; ona miała miljon, on olbrzymie majątki hen

daleko w głębokiej Rossji aż koło... Wilna! Byli oni bogaci w Krynicy, lecz po tem, po tem powiadali ludziska, że ona posiadała tylko miljon... serdecznych westchnień i słodkich słówek, a on... olbrzymie majątki gdzieś pomiędzy księżycem a jakimś innym planetą. Nic to jednak nie przeszkadzało prowadzeniu podobnych interesów przez różnorodne ciocie i jeszcze różnorodniejsze mamy i dziewice z bijącemi serduszkami.

Na wszystkich tedy punktach Krynicy przemyśliwano nad interesami. Jakoż nie ujrzałeś tu prawie panny, aby cię o niej nie doszły słuchy, że posiada posagu już co najmniej 100.000 guldenów lub rubli, a były i takie co na talary liczyły. Młodzież równie tu była majętną, a przynajmniej zajmowała w społeczeństwie wysokie stanowiska. Nie było tu biedoty, a zresztą choćby się i znalazła, to zazwyczaj nikt o niej nie wspominał.

Być może, iż takie wzajemne okłamywanie się uchodziło dawniej za dobrą monetę, dzisiaj smutne robi ono wrażenie. Społeczeństwo polskie ledwo dyszy pod ciężarem nieprzyjacielskiej ręki, a mimo to przy pierwszej lepszej okazji wszyscy udają zamożnych obywateli. W domu bieda, że ledwo wyżyć można, a w kąpielach prowadzi się dom wystawnie, rozwijając blask jego na bladze i przechwałkach. Zwłaszcza domy mające córki na wydaniu najwięcej szerzą owe praktyki. Do czego to wszystko prowadzi? Czy owe wykwintne toalety, jakiemi nasze panie lubią błyszczeć w Krynicy, potrafią zatrzeć naszą niedolę i wzbogacić domy rodzinne? Czy jednowioskowy szlachcic, pozujący tu na hrabiego lub barona, podreperuje tym sposobem fatalne interesa swojej chudoby? Nie. Wszyscy o tem wiedzą, a przecież prawie wszyscy udają tu ludzi bardzo zamożnych. Oczywista, że na wzajemnym podstępie zawiązujące się w Krynicy nowe małżeństwa, muszą za sobą pociągnąć rozczarowania, zgryzoty i moralny upadek rodziny. Łatwo odgadnąć następstwa podobnej taktyki i skutki jakie ona wywiera na społeczeństwo.

Jaki pan, taki kram, powiada przysłowie, jaka więc publiczność, tacy też kupcy i różni przedsiębiorcy kąpielowego zakładu. Słyszą oni, że wszyscy tutaj bogaci, skąd za najmniejszą bagatelę żądają potrójnej ceny jej rzeczywistej wartości; za piórka zatem, inne świecidełka opłacają nasze wędrowne ptaki bajeczne stosunkowo ceny, a właściciele mieszkań bez zarumienienia się każą płacić miesięcznie za mały i lichy pokoik 60 i więcej guldenów! Tylko domy rządowe, których tu jest kilka, stanowią wyjątek w tym względzie. Można w nich dostać wcale wygodne mieszkanie dziennie za 50 ct., 1 lub 2 guldeny, ostatnia zaś cena kładziona zwykle za dwa duże pokoje i przedpokój, jest bardzo niską w stosunku do mieszkań prywatnych przedsiębiorców. Jedynie restauracje stanowią tutaj wyjątek, za 80 bowiem centów i 1 guld. ma się dobry objad złożony z czterech potraw. W ogóle stół w Krynicy jest nie drogi i dosyć nawet dobry, a gdyby mieszkania i inne potrzeby mogły się z nim równoważyć, wtedy zakład ten nie byłby wcale kosztownym dla osób potrzebujących kuracji. W obecnych jednak warunkach, zwłaszcza wobec zachowania się naszej publiczności, stale się Krynica mało komu dostępną, pomimo, że jej wiele osób cierpiących potrzebuje.

Pomijając publiczne zabawy, których mieliśmy kilka tego lata, pomijając ploteczki i skandaliki, bez którychby się nasze panie nie obeszły, musimy nadmienić, że Krynica przy dobrem zrozumieniu krajowego interesu może wkrótce rozwinąć się na bardzo pożyteczny zakład leczniczy. Zwłaszcza kolej tarnowsko-leluchowska może ku temu wiele dopomódz, tembardziej, że zawiązuje się tu akcyjne towarzystwo w celu zbudowania kolei konnej od Muszyny do Krynicy. Zaprowadzenie takiej drogi wynoszącej do $1^{1}/_{2}$ mili, może sprowadzić do Krynicy wielu cudzoziemców, a co najmniej powstrzymać wywóz pieniędzy polskich do kąpiel zagranicznych. Ma się rozumieć, że wtedy tylko Krynica rozwinie się należycie, jeżeli jej rozliczni przedsiębiorcy będą zarówno dbali o interes własny, jak i o wygody publiczności. Potrzeba tu jeszcze wielu bardzo i wygodnych mieszkań, potrzeba również powiększenia spacerów.

Dotychczasowe spacery po linji zakładu kąpielowego i takie przechadzki na „Edwardówkę,“ „Michasiowę“ i „Łętówkę“ nie wystarczają, tem bardziej, że źródło „Słotwinka“ i nowe otwierające się obecnie, za daleko są położone od łazienek. Zdaje nam się, że ulepszenia te łatwo będzie można przeprowadzić, byle tylko znaleźli się rozumni przedsiębiorcy i zarząd zakładu nabrał więcej energicznego ducha. Wprawdzie najbliższa okolica Krynicy za mało posiada lasu do rozwinięcia parków, zawsze i ten co się wspina ponad „Michasiową“ i „Słotwinką“ posiada bardzo korzystne ku temu warunki. W drodze np. ku „Słotwince“ spada po skałach ze znacznej wysokości duży dosyć strumień; możnaby go więc bardzo korzystnie upiększyć i tym sposobem utworzyć jedno z najprzyjemniejszych miejsc Krynicy.

Ale przedewszystkiem należałoby wpłynąć na właścicieli domów, by biorąc za mieszkania duże pieniądze, pomyśleli też cokolwiek o położeniu przyzwoitszych mostów i chodników; dzisiaj bowiem publiczność najlepiej musi chodzić po błocie lub łamać nogi po kładkach, jeśli chce wieczorem wracać do swojej siedziby.

W ogóle trzeba dużo zrobić ulepszeń, jeśli chcemy aby Krynica rywalizowała z obcemi zakładami kąpielowemi. *L. K.*

Literatura sztuka i nauka.

— Począwszy od dzisiejszego numeru, w piśmie naszem będziemy umieszczali stałe korespondencje ze wszystkich okolic polskich, a szczególnie Galicji, poświęcone sprawom społecznym, literackim i naukowym. Ponieważ dział ten wymaga współpracownictwa jak najobszerniejszego, prosimy więc niniejszem czytelników i przyjaciół „Tygodnia,“ aby nas zasilali wiadomościami, które ogół mogą obchodzić. Nie idzie nam o stylistyczne opracowanie, którego w razie potrzeby chętnie się podejmiemy, ale o treść. Listy prosimy adresować wprost do redaktora „Tygodnia.“

— „Messjanizm i Towiańszczyzna,“ rozprawa Cz. Pieniążka drukowana w piśmie naszem, wyszła w osobnem odbiciu i znajduje się w handlu księgarskim. Niemal wszystkie pisma polskie poświęciły jej dłuższe lub krótsze uwagi, w ogóle pełne uznania i wielce dla autora pochlebne. Jedna tylko „Gazeta Narodowa“ wystąpiła przeciw pracy p. Pieniążka — ale jak należy sądzić o zdaniu tejże, najlepiej ztąd się okazuje, iż „Gazeta Narodowa“ stanowczo twierdzi, że „towiańszczyzna godzi się z postępowością i nauką.“ Kto zna naukę Towiańskiego, kto sobie przypomni bałamuctwo jego o siedmiu mesjaszach z których pierwszym był Chrystus, a drugim Towiański: kto przypomni sobie, że podług nauki Towiańskiego człowiek jest pochwą dla czarnych i jasnych duchów, temu nie trudno będzie wydać wyrok na recenzję „Gazety Narodowej.“ Dziwimy się, że się znalazło u nas pismo, które otwiera swe szpalty propagandzie Towianizmu.

— Księgarz i nakładca M. Orgelbrand ogłosił prospekt na wydawnictwo pt. „Jezus Chrystus zapowiadany, żyjący widzialnie w świecie i żyjący w dziejach,“ przez Ludwika Veuillot'a, z dołączonem przez E. Cartier'a studjum o sztuce chrześcijańskiej. Tom jeden in 4o objętości około 600 stron, ozdobiony 16 chromolitografjami, 7 drzeworytami, fototypami i litografjami na oddzielnych tablicach, oraz 180 drzeworytami w tekście podług pomników sztuki od katakumb aż do dni naszych. Przekład polski ks. Michała Nowodworskiego, redaktora „Encyklopedji kościelnej.“

— Zasłużony i utalentowany artysta Wojciech Gerson ukończył dziesięć rysunków większych rozmiarów do poematu Adama Pługa p. n. „Sroczka,“ któremu dał poeta skromny napis Obrazka zaściankowego. Poemat ten ukaże się w końcu br. w wydaniu ozdobnem z przepychem typograficznym w formacie wielkiej ćwiartki na welinie. Wkrótce ujrzymy także illustracje M. Andriollego do poematu Syrokomli „Dęboróg.“

— P. Juliusz Mien, znakomity tłumacz dzieł Słowackiego, przekłada obecnie na język francuzki „Dzieje“ Moraczewskiego, w celu zebrania dostatecznego funduszu na wydanie przekładów swoich naszych poetów a szczególniej dramatu „Lilla Weneda.“

— Między nowościami z literatury nadobnej, które w tym sezonie mają w Paryżu najwięcej rozgłosu, wymieniają następujące: *Les Dianes et les Venus* przez A. Houssay'a; *Le Bluet* przez Gustawa Habler, pseudonym pani Fould; *La Comedie académique* przez Champfleury, i Hektora Malot *L'auberge du Monde.*

Akademja Umiejętności.

— Dnia 10 bm. odbyło się posiedzenie wydziału historyczno-filozoficznego pod przewodnictwem dra. Piotra Burzyńskiego. Na wezwanie przewodniczącego zgromadzenie uczciło powstaniem z miejsc pamięć zmarłego członka akademji Ludwika Wołowskiego. Sekretarz wydziału dr. Szujski przedstawił trzecią i ostatnią część rozprawy dra. A. Prochaski p. t. „Polska i Czechy w czasach husyckich;“ nadesłane konkursowe rozprawy na temat: „Opisu części ziemi polskiej“, jedną z Düsseldorfu, mieszczącą opis biskupstwa Warmińskiego, drugą z Galicji, mieszczącą opis województwa Brzesko-Kujawskiego. Przedstawiono następnie pracę dr. J.... p. t. *Polonica, materjały do dziejów Polski w pismach rossyjskich napotykane,* odznaczoną nagrodą konkursową Tow. historyczno-literackiego w Paryżu, a przeznaczoną do druku w pismach Akademji. W końcu odczytał sekretarz program wydania dzieła senatora Kazimierza Stronczyńskiego: *Dawne pieniądze polskie i litewskie do r. 1506,* rozbiorem źródeł spółczesnych i wykopalisk objaśnione i w porządek chronologiczny ułożone. Dzieło to dopełniające krytyczną wiedzę o numizmatyce polskiej w wiekach piastowskich i czasach pierwszych pięciu Jagiellonów, opatrzone wybornemi rysunkami, przygotowanemi przez autora z pomocą pana Bajera z Warszawy, ofiarowane zostało Akademji do wydania przez autora, która też chętnie podejmuje się wypełnienia tego obowiązku wobec nauki polskiej. Przeważną część posiedzenia zajęło odczytanie projektu objęcia i urządzenia archiwów grodzkich i ziemskich w Krakowie i Lwowie przez Wydział krajowy wygotowanego przez komisję historyczną Akademji (referat dra. Bobrzyńskiego), a przesłanego do opinji gronu lwowskiemu tejże komisji. Po dłuższej dyskusji, w której wzięli udział pp. Burzyński, Bojarski, Heyzmann, Chrzanowski, Hoszowski, wydział przyjął zmodyfikowany w niektórych szczegółach projekt, który też Wydziałowi krajowemu wkrótce przez zarząd Akademji posłanym zostanie. Przy układaniu jego uwzględniono tak potrzeby praktyczne, jak potrzebę naukową, a miano także znaczny wzgląd na oszczędność w kraju naszym konieczną.

Odkrycia i wynalazki.

— Ciekawe doświadczenia robione są obecnie w paryskim centralnym zarządzie telegrafów z nowowynalezionym przyrządem pana Lenoit, wynalazcy motora o zgęszczonem powietrzu. Aparat ten, który ma znaleźć pomieszczenie na wystawie powszechnej 1878 r., odtwarza wiernie pismo osoby posyłającej depeszę i daje jej tym sposobem możność posyłania na każdą odległość autentycznego własnoręcznego podpisu. Przyrząd kopiuje również z najściślejszą wiernością wszelkie rysunki. Już przed kilku laty myślano wiele o zbudowaniu podobnej maszyny, lecz aparat Caselli nie okazał się praktycznym, raz z powodu szkodliwych substancyj, jakich używał, a powtóre z powodu niedostateczności rezultatów.

Gospodarstwo.

— Pan Ludomił Jastrzębowski, z Nowego-Dworu (pod Skierniewicami), donosi warszewskiej „Gazecie Handlowej“, że w ciągu kilkoletniej swej pracy około roli, upewnił się stanowczo, że plenienie roślin okopowych, ziemniaków, buraków i t. p., może się stać w każdej miejscowości zupełnie niepotrzebnem, a zatem koszta tego plenienia zupełnie oszczędzone. Sposób dający możność uniknięcia plenienia, ma być bardzo prostym, a przy zastosowaniu go w przeciągu roku, dwóch, a najdalej trzech lat, ziemia staje się zupełnie wolną od chwastów i wydaje te tylko plony, jakie na niej zostały zasiane. W tym więc celu pragnie porozumieć się osobami kompetentnemi i podjąć się wprowadzenia swego środka.

Statystyka.

— W *Mittheilungen* Petermana zamieszczono w ostatnich czasach ciekawe obliczenie ludności całej ziemi z podziałem na różnicę religji języków i plemion. Według Dra Hubnera trzecia część ogólnej ludności globu wyznaje religję chrześcijańską, siódma należy do katolickiego kościoła. Co do języków angielskiego używa go 80.000.000 jednostek, francuskiego 42.000.000, hiszpańskiego 40.000.000. Językami różnych gałęzi słowiańskich mówi 70.000.000 Ludność Europy plemienia aryjskiego rozdziela się w ten sposób: ludy germańskiego szczepu wynoszą 92.000.000 łacińskiego 85.000.000, słowiańskiego 45.000.000.

ROZMAITOŚCI.

— W Paryżu umarł przed kilką laty niejaki pan Dupont, staruszek ze wszech miar zacny i poczciwy, który obok dobrej sławy pozostawił gotówką przynajmniej dwa miljony franków i śliczną willę w Passy, urządzoną ze smakiem znawcy a przepychem bogacza. Że pan Dupont dawno już utracił był żonę i nie miał dzieci ni bliższych krewnych, więc liczni jego przyjaciele i znajomi byli niezmiernie ciekawi treści testamentu. Ciekawość ta była tem bardziej zaostrzoną i usprawiedliwioną, ile że p. Dupont na kilka miesięcy przed śmiercią zapowiedział jawnie wszystkim przyjaciołom kochanym, iż przyjdzie chwila gdy się przekonają, jak to on usilnie starał się o to, by w swoim czasie sowicie nagrodzić okazaną mu szczerze przyjaźń. Dodać należy, że dobroczynny staruszek nie tylko obiecywał taką alluzją nagrodę po swej śmierci, ale spieszył z hojną pomocą, ilekroć gdzie okazała się rzetelna tego potrzeba. Po zgonie nieodżałowanego i tak rzadkiego filantropa, otrzymało ze czterdzieści osób, mężczyzn i kobiet, zaproszenie od notarjusza p. L. by do niego przybyły celem dowiedzenia się stosownie do woli zmarłego, o treści jego testamentu. Oczywiście że wszyscy stawili się skrupulatnie. Głównymi spadkobiercami zostali ubodzy Paryża, dla których nieboszczyk zapisał miljon franków i pieniądze uzyskane ze sprzedaży cennych ruchomości, o ile takowe nie zostały komu podarkiem przeznaczone. Następnie, wszyscy którzy szczycili się bliższą znajomością pana Dupont'a, otrzymali jakieś hojne upominki, przyczem nieboszczyk widocznie miał tę myśl przewodnią, by każdy dostał jakiś dar zastosowany czy to do jego gustu, zamiłowania, czy istotnej potrzeby. I tak np. pewna pani, która za każdą bytnością u staruszka zachwycała się jego ślicznym zbiorem kamieni, otrzymała kilkanaście pięknych kamei, wraz z odpowiednią sumą, potrzebną na ich oprawę złotą. Pewnemu młodemu malarzowi przeznaczył sześć tysięcy franków na podróż do Włoch, jednemu amatorowi dzieł sztuki darował kilka cennych malowideł i zbiór weneckich naczyń szklannych. Daleki krewny zmarłego, posiadający niewielką własność ziemską, dostał piękne kompletne ekwipaże. Druga znowu, równie dość daleka kuzynka, wdowa po pułkowniku, otrzymała urządzenie zupełne na trzy pokoje, a w dodatku córce jej, siedmnastoletniej Marji Magdalenie nieboszczyk zapisał 6000 franków, aby mogła z pomocą tej sumy wykształcić się na nauczycielkę muzyki. Słowem, wszystkie legaty były pod względem wartości pieniężnej mniej więcej sobie równe, a reprezentowały wartosć co najmniej 240.000 franków. Testament kończył się serdecznem podziękowaniem za okazywaną mu za życia przyjaźń i życzliwość wraz z prośbą, by i po śmierci chowali dlań pamięć równie przyjazną. Wszystka służba otrzymała dożywotnie pensje. Ostatni wreszcie dodatkowy paragraf oznajmiał lakonicznie, że nieboszczyk złożył w banku francuskim skrzynkę zawierającą miljon franków, i prosi by wszyscy legatarjusze po roku zjawili się znowu u notarjusza, a ten wówczas otworzy w ich przytomnośoi skrzynkę, i powie komu przeznaczony został ten miljon. Można sobie łatwo wyobrazić, jak ta wiadomość podziałała na obecnych. Z wielkiem zdumieniem spoglądali na siebie, gubiąc się na próżno w domysłach, kto owym arcyszczęśliwym będzie wybrańcem? Ze słów dokumentu nie można było nic a nic wywnioskować, to też pozostawało szerokie pole dla kombinacyj i nadziei. Prawie każdy z innem uczuciem i myślami oddalał się od notarjusza. Jedni byli zmarłemu szczerze wdzięczni za otrzymane podarki, drudzy oczekując czegoś więcej, z niesmakiem zawiedzionych nadziei powracali do domu. Co najbardziej ich irytowało, to oryginalne życzenie testatora, by wszyscy po roku zgromadzili się powtórnie. Chyba na to — myślał ten i ów — by ponownie zezłościć się, gdy kto inny chwyci miljonka. A nie stawić się wówczas, było rzeczą dość ryzykowną. Stary dziwak mógł mieć pomysły rozmaite. Nuż istniała jeszcze jaka klauzula będąca w związku z punktualnem spełnieniem woli zmarłego pod względem stawienia się u notarjusza na dniu oznaczonym! Tak mniej więcej rozumował każdy z malkontentów, i wolał już doznać rozczarowania, niżeli ryzykować tak grubo. Najszczęśliwszą ze wszystkich czuła się niechybnie młodziutka Marja Magdalena, która dostała 6000 franków na wykształcenie się w muzyce. Matka jej ograniczona jedynie na skromną pensję po mężu, musiała bezustannie walczyć z kłopotami codziennego bytu, a choć krewna bogacza, dość miała dumy chwalebnej, aby nie natrącać się mu z prośbą o wsparcie. Hojne podarki noworoczne były jedynemi z jego strony datkami. Razu pewnego młode dziewczę, popisując się przed staruszkiem ze swym głosikiem dźwięcznym, nadmieniło pobieżnie, jak to szczęśliwą byłaby, gdyby mogła wykształcić się w muzyce i tym sposobem zapewnić sobie kawałek chleba na przyszłość. Snać poczciwy starzec zanotował był sobie to w pamięci, i Marja była mu za ten dar z całego serca wdzięczną. Nic też dziwnego, że w poczuciu tej wdzięczności, pewnego popołudnia niedzielnego, wybrała się z bukietem w ręce na cmentarz aby kwiatkami przystroić grób dobroczyńcy. Jakże się zdziwiła boleśnie, gdy mogiłę jego znalazła w nader opłakanym stanie, świadczącym aż nadto wymownie, że nikt tu nie był od chwili pogrzebu. Pobiegła do grabarza, nadzorującego groby i zapytała go, czemu mogiła pana Dupont'a w takiem opuszczeniu, jak gdyby tam leżał jaki nędzarz, a nie człowiok miljonowy, dobrodziej tylu ludzi! Dozorca odpowiedział sucho, że nie otrzymał był żadnego w tej mierze polecenia. Zasmucona poszła do notarjusza, i opowiedziała mu o tem. Notarjusz wzruszył obojętnie ramionami i z miną wyrażającą próżne ubolewanie dodał, że choć pan Dupont najmniejszy wydatek przewidział był w testamencie, i zaopatrzył stosowną sumą, o grobie swoim jednak przemilczał zupełnie, i nie zostawił na ten cel najmniejszego funduszu. Na te słowa oczy poczciwego dziewczęcia napełniły się serdecznemi łzami. — „Nie, nie dozwolę — rzekła z uniesieniem — by tak wyglądała mogiła człowieka, który tylu ludziom wyświadczył dobrodziejstw mnóstwo, i chętnie biorę na siebie obowiązek czuwania od tej chwili nad miejscem jego spoczynku ostatniego.“ Jak rzekła tak też czyniła. Niebawem stanął na grobie krzyż skromny z nazwiskiem zmarłego, a u stóp jego na wiosnę zakwitły fiołki, niezapominajki i inne kwiecie, zdobiąc grób do późnej jesieni. Marja z matką przychodziły często i własnemi rękami pielęgnowały samotna mogiłę. Po upływie roku, wszyscy zgromadzili się u notarjusza, otworzono skrzynkę w niej znaleziono takie rozporządzenie, spisane ręką nieboszczyka: „Z dziesięć razy odmieniłem mój testament, nigdy jednak nie mogłem zadość uczynić sobie. Komu Opatrzność powierzyła wielki majątek, ten dźwiga obowiązki moralne o wielkiej doniosłości. Uznałem za stosowne, powierzyć w ręce godne znaczną część mego mienia, by w przyszłości był z niego użytek dobry i po myśli mojej. Niejedne usta prawiły mi o szczerem przywiązaniu, dozgonnej przyjaźni itp. atoli Bóg tylko jeden czyta dobrze w sercach ludzkich — i wątpliwości przykre doskwierały mi niejednokrotnie. Ze wszystkich cnót zdała mi się wdzięczność, najczystszą i najrzadszą zarazem między ludźmi. Niech zatem nikt się nie śmieje gdy się z niniejszego dowie, że tę znaczną część mego majątku przeznaczyłem tylko jakiemuś sercu nie obłudnie mi wdzięcznemu. Wszystkich którzy znali mię, starałem się wedle możności czemś ucieszyć; mogę za tem śmiało żywić nadzieję, że u tych, którzy za życia odwidzali mię często a przyjmowani byli zawsze ze szczerą uprzejmością, na jaką mnie tylko stało, że powtarzam u nich odezwie się kiedyś życzenie, odwidzić mogiłę, kryjącą w sobie prawdziwego ich przyjaciela. Stosownie do rozporządzenia mojego, grób mój zostanie bez opieki, i jeśli nikt z własnego popędu nie zajmie się nim, rychło zapadnie się wyrównywając mogile pierwszego lepszego sieroty nędzarza. Otóż tym z pomiędzy przyjaciół, którzy pamięć moją uczczą w ten sposób, że nie zapomną o samotnej mogile ale pielęgnować ją będą wedle swej możności, im to w dowód mojego zaufania i wdzięczności, oddaję znaczną część majątku. Postanawiam zatem, aby w razie, gdy kilku może weźmie mogiłę w swa opiekę, między nich ten miljon w równych częściach podzielony został, gdyby zaś jeden tylko, temu jednemu go przeznaczam. Jeśliby atoli nikt z pośród przyjaciół moich nie uczuł się zniewolonym do tej usługi dla zmarłego przyjaciela, wówczas i ten miljon przeznaczam spadkobiercom moim, ubogim Paryża.“ Tak więc poczciwa, szlachetna Marja, ku niezmiernemu zdumieniu swojemu, miała wyłączne prawo do tego miljona, który, gdy go otrzymała, stał się w jej zacnych rękach źródłem ulg i pociech dla wielu prawdziwych nędzarzy.

— Król murzyńskiego państewka Dahomeju w Zachodniej Afryce, które w ostatnich czasach wypowiedziało wojnę Anglji (!) przed kilkoma laty dowiedział się był od jednego ze swych poddanych, który powrócił z wycieczki do Senegalu, o kapelach wojskowych istniejących w innych pańswach i postanowił także u siebie zaprowadzić takie kapele. W tym celu udał się do znajomego kupca w St. Louis z prośbą, ażeby mu dostarczył instrumentów muzycznych, a ten polecił załatwienie tego sprawunku jednej z francuskich fabryk instrumentów dętych. Po upływie pewnego czasu nadeszły zamówione instrumenta do Dahomeju. Król zgromadził cały swój dwór, jak w największe święto, i porozdzielał instrumenta pomiędzy wszystkich dygnitzrzy. Ten więc otrzymał bombardon, ów trąbkę, trzeci waltornię, inny klarynet itd. Na dany znak przez samego króla, wszyscy zaczęli dąć w swe instrumenta z całej siły. Można sobie wyobrazić piekielną wrzawę, jaka z tego wynikła. Król sam uznał muzykę za rzecz najszkaradniejszą pod słońcem, a zgorszenie swe wyraził także w liście do owego kupca w St. Louis. Kupiec napisał list z wymówkami do francuskiego fabrykanta. zarzucając mu, że dostarczył złych instrumentów — lecz ten odpisał z solennem zapewnieniem, że instrumenta były wcale dobre. W końcu kupcowi zaświtało w glowie; napisał do króla Dahomeju z zapytaniem, czy Jego król. Mość ma jakich muzykantów? — „Niedorzeczne pytanie! — brzmiała odpowiedź rozgniewanego już na dobre władcy murzyńskiego — czyliż byłbym się udawał do pana, gdybym tutaj miał muzykantów? A zatem instrumenta pańskie nie robią muzyki same?“

— Pod tytułem: „Spuścizna biednego dziewczęcia“ podały dzienniki paryskie w ostatnich czasach następujące doniesienie: Ubiegłej niedzieli uganiali mieszkańcy pewnego domu przy ul. St. Honorjusza za kanarkiem, który, przyleciawszy niewiadomo skąd, krążył ustawicznie koło tej kamienicy. Ścigano żółtą ptaszynę tem pilniej, że spostrzeżono na jej szyi świstek papieru przymocowany na cienkim drucie. Po dość długich zabiegach powiodło się w końcu schwycić ztrwożone stworzenie, przyczem odczytano te rzewne słowa: „Biedna i chora, bez roboty i środków do życia, sama nie wiem, co się ze mną stanie. Liczę zaledwie dwadzieścia lat, i widzę przed sobą jeno życie tak straszne i okrutne, że mię na myśl samą o niem przejmują dreszcze śmiertelne. Ale postanowiłam sobie niezłomnie — dziś w nocy zakończę tę dolę smutna... Jedynym przyjacielem, jakiego miałam na tym świecie, jest ta ptaszyna mała. Puszczam ją na wolność, i proszę tego, kto ją złapie, by ją pielęgnował troskliwie, a wywdzięczać się mu będzie śpiewem prześlicznym.“ Od redakcji umieszczono przypisek, że kanarka, tę spuściznę biednego dziewczęcia, schwytał pan N. N. właściciel handlu bławatnego przy ul. St. Honorjusza i żywi go z prawdziwym pietyzmem dla ostatniej woli nieszczęsnej dziewicy. Nie prawdaż, że historyjka wcale rozczulająca i oryginalna! Jakże się zdziwią i rozczarują czytelnicy, gdy się dowiedzą, że wszystko to było li sprytnym wymysłem pana N. N. na polu reklamy. A skutek był wyśmienity. Cały świat piękny Paryża, wyczytawszy w dziennikach tę wzruszającą bajeczkę, spieszył do sklepu p. N. N. by oglądać osierociałą ptaszynę „spuściznę nieszczęśliwego dziewczęcia“ i oczywiście każda z pań coś zakupiła przy tej sposobności. W dodatku, pewna podeszła bogata pani zapragnęła odkupić go, i po długich targach zapłaciła zań sowicie zmyślnemu spekulantowi za tkliwość kobiecą.

Treść Nr. 7.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).